

- Posłuchaj mnie teraz dobrze - poważnym głosem odezwała się Maryja. - Zanim odszedłeś, powiedziałam ci, że próba, którą będziesz musiał przejść, będzie niełatwa. Pamiętaj, że powiedzisz się jedynie wtedy, gdy całym sercem zawierzysz mnie oraz Panu Bogu.

- Jestem gotowy na wszystko - odpowiedział Marcin.

Matka Boża wskazała na studnię stojącą nieopodal drzewa.

- Wrzuć Joannę do środka - poleciła, młodzieniec zaś stanął jak wryty.

- Jakże to, mam ją na pewną śmierć postać? - spytał.

- Zaufaj mi i módl się, a Pan Bóg cię wesprze - odparła, a gdy tylko wypowiedziała te słowa, Marcin poczuł wielki napływ siły i spokoju. Wziął ledwie przytomną Joannę na ręce, podszedł do studni, przytulił ją do serca i wrzucił do środka. Wtedy to rozległ się głośny szum, woda zaś wytrysnęła wysoko, unosząc kobiety i nie pozwalając jej utonąć. Gdy zaś opadła, a Joanna bez szwanku znalazła się na ziemi, dojrzał Marcin, że bladeść ustępuje z jej lica, dymienice cofają się z jej skóry, a oddech, do tej pory przerywany i nieregularny, wyrównuje się. Kilka minut nie minęło, a niewiasta otworzyła oczy, powstała z ziemi i rzuciła się w ramiona męża.

Marcin nisko pokłonił się Najświętszej Paniencie, dziękując jej za pomoc.

- Nie mnie dziękuj, lecz Panu Bogu, bo gdyby nie Jego wola, niczego nie zdołałbyś uczynić. Zostawiam wam dar, dzięki któremu i pozostałych chorych kętrzan uleczycie - odpowiedziała z uśmiechem i znikła.

Marcin mocno przygarnął do siebie Joannę i, to śmiejąc się, to płacząc, opowiedział jej, jakiz to cud właśnie się zdarzył. Gdy zaś spojrzął na studnię, ze zdziwieniem dostrzegł, iż w jej miejscu wybija spod ziemi źródło o krystalicznie czystej wodzie. Kto zaś się tej wody napił, z miejsca zdrowiał. Nie był to zresztą koniec dziwów w Kętrzcu, następnego dnia bowiem w gałęziach dębu, na którym objawiła się Maryja, ukazało się przedstawiające ją malowidło. Ostrożnie zdjęto je z drzewa i z czcią umieszczono w miejscowej kapliczce. Od tego czasu kto tylko o łaski jakie przed owym obrazem prosił, natychmiast je otrzymywał.

Więci o owych cudach w krótkim czasie rozeszły się po całym Pomorzu, a do Kętrzca zewsząd zaczęli ciągnąć pątnicy. Dzięki ich daniu w miejscu skromnej kaplicy powstał wspaniały kościół, który do dziś można we wsi oglądać. Tak samo zresztą jak cudowne źródło. Czy jego woda nadal ma moc uzdrawiania? Pojeźdźcie tam sami, aby się o tym przekonać!

# Czarna Jolka

Szczecin

Wiele lat temu w Szczecinie żył Paweł, stary kat miejski. W fachu swym sprawny był jak mało kto, toteż z jego usług nierządko korzystały również pobliskie miasta. Wiedział dobrze, jak człowieka podtopić czy poddusić, aby go nie zabić, lecz skłonić do przyznania się do win, natomiast narzędzia tortur nie miały przed nim żadnych tajemnic. W zależności od wydanego wyroku umiał pozbawiać życia szybko i powoli: nigdy nie zdarzyło się, aby skazany wyzionął ducha wcześniej, niż było to przewidziane. Dlatego lękano się go i obchodzono szerokim łukiem. On sam jednak niewiele się tym przejmował: taki już był z niego ponurak i odludek, co w jego kacim fachu okazało się cechami wiele pożądanymi.

Razu któregoś przyszło mu badać nierządnicę, Jolanta było jej na imię, którą oskarżono o paranie się czarną magią. Czy sprawiła to jej niezwykła zawziętość, czy też może była to sprawka sił nadprzyrodzonych, Jolanta zdołała wytrzymać tortury i dowieść przed inkwizytorem swej niewinności. Wykluczono ją jednak z cechu, gdyż ośmieliła się sprzedawać swe ciało w piątek, dzień męki Chrystusowej.

Pozbawiona zajęcia i środków do życia, byłaby zginęła marnie, gdyby twarde serce Pawła nie zmiękło na widok jej niedoli. Poratował ją zatem, przygarniając dziewczynę pod swój dach.

Przez długi czas Jolanta ustugiwała staremu katu, któremu przeżyte lata zaczynały coraz bardziej ciążyć, pomału pochylając go ku ziemi - wreszcie zaś zaczęła mu pomagać w jego fachu, zrazu przy drobnych czynnościach, niespostrzeżenie dla siebie samej czyniąc coraz większe kroki ku przejęciu Pawłowych obowiązków. To on nauczył ją, jak bardzo trzeba nakręcać linę na kotwót, aby wylamać człowiekowi ramiona ze stawów, jak trzymać topór i gdzie celować, aby jednym ciosem oddzielić głowę od ciała, jak wieszać, aby skazany nie umarł zbyt szybko.

Jolanta była pojętną uczennicą, a stary mistrz z biegiem czasu odawał jej coraz więcej obowiązków. Kiedy więc wreszcie nadszedł ten dzień, gdy śmierć, dobra kościasta znajoma kata, zapukała i do jego drzwi, dziewczyna była gotowa do objęcia jego funkcji. Dzięki listom uwierzytelniającym kierowanym do rady miejskiej, które zostawił po sobie Paweł, nominowano ją bez zbędnych ceregieli, mieszczarstwo zaś - od ciemnych strojów, które zwykła nosić - w niedługim czasie ochrzciło ją mianem Czarnej Jolki.

Bardzo szybko okazało się, że jest ona godną następczynią Pawła. Podobno nie było człowieka, który, oddany w jej ręce, nie przyniósł się do winy. Jeszcze okrutniejsza od starego kata, w jednej metodzie tortur rozsmakowała się szczególnie: zapieczętowaną z jednej strony rurę ze szcurem w środku przystawiała oskarżonemu do brzucha i następnie ją podgrzewała. Kiedy zwierzę, szukając wyjścia z pułapki, wgrzyzało się w skórę i wnetrznosci nieszczęśnika, poddany tej piekielnej torturze gotów był przynosić się do każdego czynu, nawet jeśli nigdy go nie popełnił.

Podsypane strachem plotki i pogłoski krążyły po mieście, a od Jolanty odsunęły się ostatnie osoby, które jeszcze okazywały jej, nawet jeśli nie przyjaźń, to jakieśkolwiek wsparcie. I chociaż stary mistrz ostrzegał ją niejednokrotnie, że będzie żyć wśród swoich niczym wyrzutek, samotność strasznie zaczęła jej doskwierać. Cóż w tym dziwnego: wciąż była młoda i spragniona prawdziwej miłości, uczucia, jakiego do tej pory zaznawała nadzwyczaj rzadko.

Któregoś dnia przyprowadzono do niej młodego kupca oskarżonego o fałszowanie monet. Na widok pięknego postawnego młodzieńca o kruczoczarnych włosach jej serce zabiło mocniej. Wwiązując kupcowi ręce, szepnęła mu do ucha, że uratuje go przed stryczkiem, jeżeli ten się z nią ożeni. Mężczyzna skwapliwie zgodził się na propozycję, a Jolanta tak sprytnie zamarkowała tortury, że żaden z obecnych w ratuszowym lochu sędziów nie zorientował się w jej podstępnie. Kupca uwolniono, a niedługo potem w kościele świętego Mikołaja odbył się ślub jego i Jolanty.

Ich związek trwał krótko. Panu młodemu wcale nie uśmiechało się życie u boku kobiety-kata, dlatego też ledwie po roku małżeństwa oskarżył Jolantę o czarnictwo. I chociaż nieszczęsna broniła się dzielnie, uległa wreszcie oskarżycielom – złamała ją bowiem ta sama szkurza tortura, którą tak bardzo sobie upodobała. Przyszawszy się do wszystkiego, została wyrokiem miejskiej ławy oddana na pastwę płomieni.

Podobno jeszcze dziś, gdy dzień jest wietrzny i pochmurny, w murach starego szczecińskiego ratusza słychać ciche jęki i westchnienia. Czasami kątem oka można dostrzec czarną postać przemysłkającą korytarzami lub kryjącą się po kątach dawnej sali obrad ławy miejskiej, gdzie przed wiekami Jolantę osądzono i skazano na śmierć.

## Czarna Pani z Rugii

Sassnitz (Sośnica)

Powiadają, że w dawnych czasach na Jasmacie na Rugii, w miejscu, gdzie morze toczy odwieczną i nieustającą walkę z lądem, wznosił się potężny zamek. Władła nim zaś księżniczka, która nade wszystko na świecie ceniła bogactwo. W życiu swym zgromadziła niezliczone skarby, spośród których, mnóstwo pochodziło z rozbitych okrętów, rzuconych na rugijskie klify przez dzikie fale. Zgodnie bowiem z ówczesnym prawem wszystko to, co morze wyrzuciło na brzeg, należało się władcy.

Gdy poczuła zbliżającą się śmierć, rozkazała, aby wraz z jej skarba-  
mi pochowano ją w zboczcu wysokiej skały wznoszącej się ponad morskimi wodami. Nie chciała bowiem, aby dostały się one w jakieśkolwiek ręce inne niż jej własne. Tak też się stało.

Kawałek po kawałku zabrało morze dawniej świetny zamek, miejsc a wiecześnie spoczynku księżniczki jednakże nie ruszając, zupełnie jakby bogactwa na cudzej krzywdzie uzyskanego nie chciało przyjąć.

Od tych dni minęło wiele lat. Razu któregoś przemierzał nadmorski las Wisz, rybak z pobliskiej Sośnicy. Powracał od chorego brata mieszkającego w nadmorskim lesie. Rad był, bo choroba, od kilku niedziel go tocząca, zelżała wyraźnie. Mijał właśnie Iron Królewski, wysoka skałę sterczącą prosto z morza, gdy poczuł na kartku czyjś wzrok. Dziwne było to uczucie, odwrócił się więc zdjęty niepokojem i dojrzał, jak spomiędzy drzew, od strony morza zbliża się ku niemu nieznaną ma dama, bardzo wysoka, cała odziana w czerń. Twarzy dojrzyć nie mógł, tonęła bowiem w cieniu rzucanym przez czarną jak noc chustę okrywającą jej głowę. Jakiś ziąb dziwny bił od niej, jej szaty zaś rozta-  
czały wokół zapach mokrej ziemi. Podeszła do niego i głuchym głosem spytała:

– Czyś po moje skarby przyszedł?

– Nie – odparł Wisz, czując, jak jeża mu się włosy na głowie. Odwrócił się na pięcie i czym prędzej odszedł. Zjawą jednak nie dawała za wygraną. Dopędziła go i ponownie stanęła przy nim.

– Czyś po moje skarby przyszedł? – spytała ponownie, rybak zaś jeszcze gorliwiej zaprzeczył i biegiem ruszył przed siebie. Jednak i to czarnej Pani nie wystarczyło, więc wzniosła się w powietrze, ruszyła za nim i raz jeszcze go przegoniła.

– Czyś po moje skarby przyszedł? – odezwiała się głosem tak strasz-  
nym, że Wiszowi serce na chwilę się zatrzymało.

– Nie chcę twoich skarbów, maro nieczysta! – wrzasnął, przekrzyku-

Dopiero na dźwięk tych słów zjawa rozplynęła się w powietrzu, zostawiając rybaka samego pośród lasu. Dygocąc na całym ciele, dotarł wreszcie Wisz do domu w Sońnicy. A że wspomnienie straszego spotkania nie dawało mu spokoju, postanowił zwierzyć się staremu Ewaldowi, słynącemu z mądrości.

– Dobrześ zrobił – rzekł mu starzec, pykając fajeczkę. – Gdybyś bowiem Czarnej Pani inaczej powiedział, powlokłaby cię ku morzu i ze skał na pewną śmierć zrzuciła. Bo nikomu jeszcze cudzą krewią powalane złoto szczęścia nie przyniosło...

## Czarne koty

Szczecin

Głos rogów niósł się daleko po Międzyodrze. Oto groblą od strony Dąbia wracał do Szczecina książę Jan Fryderyk. Miło spędził ostatnie tygodnie w swoim ukochanym dworze w Podlesiu, pośród lasów i pól, niezbyt więc radowała go myśl o powrocie do dusznej i zatłoczonej stolicy. Z niechęcią spoglądał na potężniejące mury miejskie i rosnące w oczach wieże zamku i kościołów.

– Aż tu czuję smród ryb – poskarżył się kanclerzowi Jakubowi von Zitzewitzowi, gdy zachodni wiatr przyniósł znajomy odór.

– Powiadają pono, że Szczecina jeszcze nie widać, ale już go czuć – zaśmiał się dostojnik w odpowiedzi. – Cóż jednak czynić, miłoścyw książę, skoro właśnie na śledziach zbudowało to miasto swą potęgę.

– Ach, czemuż nasza stolica musi solić śledzie, miast wytwarzać perfumy! – dramatycznie zawołał Jan Fryderyk. – Wszyscy się z nas śmieją, i brandenburscy margrabiowie, i meklemburscy książęta, nawet sam cesarz przytyki mi czyni!

Kanclerz przewrócił oczami, nie znajdując odpowiedzi na tak postawione pytanie. Dotarli wreszcie do miasta i przez Most Długi wjechali w jego ciasne ulice, kierując się ku zamkowi. Ustępowali im mieszczanie z drogi, w pas się kłaniając, Jan Fryderyk zaś mrucał coś niezrozumiałe, wyperfumowaną chustką ostentacyjnie zasłaniając nos.

Dojechali wreszcie na zamkowy dziedziniec. Nie zdołał nawet książę zsiąść z konia, gdy staruszka jakaś przypadła ku niemu i kurczowo schwyła skraj jego szaty drobnymi kościstymi dłońmi, składając

– Pochwalony, mateczko. Czego sobie życzyć?

– Och! Miłoścyw paniel – jęknięta staruszka. – Przyszłam, aby u ciebie szukać pociechy i sprawiedliwości! Syna mego jedynego niestusznie oskarżono o rozbój i wtrącono do lochu pod tą oto Wieżą Więzienną!

– Panie, za pozwoleniem – szepnął kanclerz do ucha księcia. – Chodzi o niejakiego Jana, czeładnika szkutniczego, który jednego z rajców aż do krwi pobił, że ten mało ducha nie wyzionął.

– Miłoścyw książę, ja wiem, co będą ci opowiadać! – zawodziła kobieta. – Lecz ja słowo swe daję, że mój Jasiak nie mógł uczynić tego, co mu zarzucają! Tego bowiem wieczoru zaniemogłam wielce, więc opiekował się mną aż do białego świtu! Tylko ty, panie, możesz zmienić niesprawiedliwy wyrok. Jeżeli trzeba, ja za niego do lochu pójdę.

– Nazajutrz go chwycono, a pobity rajca go rozpoznał – szeptał Jakub von Zitzewitz.

Książę odwrócił się do kobiety i spojrzał na nią piorunującym wzrokiem.

– Gdzież słowa twoje równać się mogą temu, co prawi mój kanclerz! Wystarczy już szubrawców na ulicach, aby jeszcze jednego z więzienia puszcząć – syknął. – Odmawiam łaski dla niego, niech w lochu szczętnie!

Nie bacząc na nic zeskokczył z konia i już chciał wejść do środka, gdy staruszka krzyknęła za nim:

– Skoro tak, niech dusza mego syna przemieni się w czarnego kota i niechże to samo spotka wszystkich tych, którzy, niestusznie skazani, znajdują tu niezastużoną śmierć! Niech każdej nocy szaleją te kocury po zamkowych dziedzińcach, niech wołają najgłośniej, jak potrafią, a ich głosy niech już na zawsze przypominają ci o krzywdzie mego syna i twej niesprawiedliwości!

Jan Fryderyk odwrócił się.

– Czarownica! – krzyknął. – Łapać, chwytac, pod sąd doprowadzić! Tłum zakotłował się. Kilka osób pochwytyło starą kobietę, ta jednak w tej samej chwili jęknięta i martwa upadła na ziemię.

Co do joty sprawdziły się słowa przekleństwa. Od tej pory bowiem, ledwie noc zapadła, z podziemi Wieży Więziennej wypadała zgraja czarnych kocurów. Aż do rana uganiały się one po zamkowych dziedzińcach, wrzeszcząc niczym opętane, a ich głos docierał do każdego zakamarka książęcej siedziby. Na próżno zmieniał Jan Fryderyk sypialnie, na próżno poduszki i kołdry na głowę naciągał – wciąż słychać było kocie miauczenie, wwiercające się w książęcą głowę i odbierające sen.

Podobno do dziś jeszcze czarne kocury hasają po szczecińskim zamku – lepiej wówczas zejść im z drogi, jeśli krzywdy nie chce się doznać. Podobno respekt czują jedynie przed tutejszą Białą Damą – nie szczęsną Sydonią von Borck – to jednak już zupełnie inna historia...

– Błagamy, miłoścy panie... – jęknął burmistrz, składając ręce jak do modlitwy.

– Pokażcie no – odparł admirał, zaglądając do jednego z worków. – Jeśli tym chcielibście mnie przekupić, to zanadto się nie postaraliście – dodał prowokacyjnym tonem.

– Ależ... – wyrwało się jednemu z rajców stojących za burmistrzem. Ten zgromił go wzrokiem i błagalnym głosem powiedział:

– To mięso z najlepszych jagniąt, jakie posiadała Gryfia. Przyjmijcie je, miłoścy panie, od miasta odstąpię...

Słyszac te słowa, duński dowódca nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

– Widzę, że bardzo wam zależy – powiedział wreszcie. – Dobrze, niech będzie. Wracajcie do siebie i cieszyć się pokojem.

To rzekłszy, poprosił o arkusz pergaminu, pióro i atrament, po czym skreślił kilka słów, zapieczętował dokument i wręczył go burmistrzowi.

– Oto jest list z podziękowaniami ode mnie – wyjaśnił. – Odpieczętujcie go jednak, szanowny burmistrzu, dopiero gdy przybędzie do waszego miasta.

Burmistrz i rajcowie, niezwykłe z siebie dumni, czym prędzej wrócili na swój statek i wyruszyli do Gryfi, odpowiadając następnie wszem i wobec, jak to dzięki swemu sprytowi uchronili miasto przed atakiem. Myny zredyli im dopiero, gdy przeczytali list od admirała, w którym stało:

Pięknie dziękuję za jagnięcinę. Wszystkiego dobrego dla was i dla waszego miasta, którego i tak atakować nie zamierzaliśmy.

Zły był burmistrz niesamowicie, oto bowiem za darmo oddał Dumnikom mięso najlepszych sztuk w miejskich stadach. Surowo zakazał więc komukolwiek o treści listu opowiadać. Ktoś jednak wygadał o całej sprawie, a wiadomość szybko rozniósła się po okolicy. Od tego czasu mieszkańców Gryfi nazywano „jagnięcinkami”.

## Jak książęta wiarę zmienili

Trzebiatów

Tak wielu świetnych osób nie oglądało to miasto nigdy przedtem. Oto bowiem trwał w Trzebiatowie sejm zwołany przez miłośców panujących książąt, Barnima IX oraz jego bratanka Filipa I. Na ich wezwanie

z całego państwa zjechali do miasta nad Regą panowie świeccy oraz duchowni, aby omówić idee Lutra, którymi od długiego czasu nasiąkał pomorski kraj. Niechętni byli im wielce i z największą chęcią wypędziliby precz protestanckich kaznodziejów, ci jednak zbyt wielki postuch zdążyli już sobie zdobyć, zwłaszcza w miastach. Dosyć bowiem mieli mieszczanie księżęgo rozpasania i bezkarności. W oczy prowadził niejednen kapłan.

Już wcześniej słychać było we dworach i w klasztorach, że i Gryfici zaczęli się skłaniać ku ideom reformacji. Bo i była to prawda: po części z przekonania, po części z chęci przejęcia wielkich dóbr, które Kościół pomorski nie zawsze w uczciwy sposób zgromadził, już od dłuższego czasu podkopywali panujący książęta jego potęgę. Oburzano się więc, ale i zasmiewano do upadłego, dopatrując się w księżących działaniach nadmiernego rozmiłowania w europejskich nowinkach. Z pobłażaniem kwitowano, iż „stolarz”, jak z racji snycerskich zamiłowań i umiejętności nazywano księcia Barnima, na religii znać się nie musi. „Ach, gdyby tylko wciąż wielki Bogusław X panował, on do takich bezceństw z pewnością by nie dopuścił...” – wzdychano i pocieszano się, że jest to jedynie przejściowa moda, która prędzej czy później książętom się znudzi.

Teraz jednak nikomu nie było już do śmiechu, bo oto książę Barnim powstał ze swego miejsca i, wiodąc bystrym wzrokiem po wnętrzu kaplicy Świętego Ducha, zażądał głosowania nad przyjęciem protestantyzmu jako religii panującej w Księstwie. Odpowiedzieli mu gromkie protesty, zaś biskup Erazm von Manteuffel aż złapał się za głowę, słysząc te słowa.

– Nie zgadzamy się! – ryczeli szlachcice i duchowni, zakrzykując niezliczonych przedstawicieli miast pomorskich. – Wiara ojców naszych naszą wiarą!

– Pan Jezus oczy zakrywa, nie chcąc oglądać bezceństw, które się tu dzieją! – wołał biskup kamiński. – Wielce uraziłeś Pana naszego, wielmożny książę! Przeto zaklinam cię, aby grzech swój zmasać, wydadaj nam tego diabła protestanckiego, który przy tobie stoi i jad fałszu do uszu twych sączy! – dodał, wskazując palcem na stojącego spokojnie za książęcymi plecami doktora Jana Bugenhagena.

Młody i energiczny książę Filip zerwał się ze swego miejsca na te słowa, stryj powstrzymał go jednak ruchem ręki. A gdy już wszyscy się wykrzyczeli i gwar ucichł, Barnim oznajmił mocnym i spokojnym głosem:

– Mówicie, panowie: „żadnych zmian”. Jakże to jednak być może, skoro cały świat i całe nasze życie na zmianach się zasadza? Mówicie: „bandytyzm”. Czyż jednak jest bandytyzmem dążyć do pełnego poznania Chrystusa? Mówicie wreszcie: „herezja”. Baczcie, że na przestrzieni lat wiele słusznych spraw zdawało się herezją...

# Jak powstał herb Goleniowa

Goleniów

W tej samej chwili zebrani ponownie zaczęli przekrzykiwać się wzajemnie. Gdzieś tam pośród tłumy krzyknął ktoś pod adresem księcia:

- Co stolarz może o wierze wiedzieć?

Książę Filip poczerwieniał ze złości, Barnim zaś jedynie zmarszczył brwi i uniośł rękę, uciszając sejmujących.

- „Jednooki poszedł w piach, przed stolarzem żaden strach” - zaczął pogardliwy wierszyk, który jeszcze nie tak dawno powszechnie dało się słyszeć w kraju. Ułożony krótko po śmierci Barnimowego brata, Jerzego I, przez któregoś z rycerzy-rozbójników, z którymi książę zaciekle wojował, wysmiewać miał nowego władcę i sugerować brak stanowczości z jego strony.

Na sali zapadła cisza jak makciem zasiał. Zebrani spojądali na siebie niepewnie.

- Który to powiedział? - syknął biskup kamiński.

- Zwietcie nas stolarzem - ciągnął Barnim. - Niechże i tak będzie, lecz baczcie, że ten właśnie stolarz zdusił wśród was sobiepaństwo i zdławił popolitych zbójców, którzy jeno przez przypadek nosili nazwiska szlacheckie. Uważajcie więc, panowie, gdyż dłuto również ma swą ostrą końcówkę i może zranic nie gorzej od miecza.

Przerwał i potoczył wzrokiem po twarzach posłów.

- Oto my i nasz bratanek ogłaszamy naszą konwencję oraz wszem i wobec wiadomym czynimy, że od dziś wyznawać będziemy wiarę, którą głosi doktor Luter - oznajmił uroczytym tonem. - Wy zaś, skoro jesteście naszymi poddanymi, nie możecie inaczej postąpić, jak tylko podążyć za nami.

Trzebiatowska kaplica Świętego Ducha zatrzęsa się aż od jęków rozpaczliwych przepłatanych okrzykami radości mieszczan. Biskup Manteuffel doskoczył zaś do książąt i jął ich błagać o rozwałę.

- Nie martwcie się, czcigodny biskupie - powiedział książę Filip. - Naszą i naszego stryja wolą jest, abyście pozostali na urzędzie aż po kres waszych dni. Jako nasz lennik, sprawować będziecie świecką władzę nad waszymi ziemiami, lecz władzy duchownej mieć już nie będziecie.

- Okaże się to jeszcze - odparł oburzony Erazm von Manteuffel, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. Filip zaś skinał ręką na Jana Bugenhagena, po czym obaj książęta długo szeptali mu coś do ucha.

W taki oto sposób Pomorze przyjęło wiarę luterańską.

Wieczorne, ciężkie słońce wisało nisko nad drzewami, których długie cienie ciągnęły się przez rozległą śródlęsną polanę, przeciętą w pół nurtem Iny. Ostatnie ptaki krążyły wysoko nad ziemią - niedługo, skoro tylko zgaśnie światło dnia, udadzą się na spoczynek.

Spośród puszcz tymczasem dobiegało szczenie psów, skrzypienie wozów i odgłosy nawoływania. Po dłuższej chwili spomnięczy drzew wyjechał na polanę pierwszy ludzie. W dłoniach dzierżyli długie oszczepty, a narzucone na ramiona opończe poruszały się lekko w delikatnym wieczornym wietrze. Jadący na czele mężczyzna ściągnął cugie i parsknął wargami, by osadzić konia w miejscu.

- Jest bezpiecznie! - zawołał do wyłaniających się z lasu towarzyszy. Jeden spośród nich, a był to sam książę Barnim I, uniośł się lekko w strzemiionach, w milczeniu kontemplując piękno krajobrazu, a następnie przenosząc wzrok na niewielką wioskę, która rozłożyła się w pewnym oddaleniu na przeciwnym brzegu rzeki.

- Tu spoczniemy! - powiedział wreszcie mocnym, donośnym głosem. - Wszyscy jesteście strudzeni całodzienną podróżą, pora więc oboz rozbić - dodał już ciszej.

Na dźwięk tych słów wśród towarzyszących księciu rycerzy, giermków i sług zapanowało wielkie poruszenie. Czym prędzej rzucili się wszyscy, aby rozbić namioty i rozpalić ogień, na którym będzie można upiec mięso upolowanych po drodze dzików. Ostatnie promienie słoneczne liżały tymczasem korony drzew, barwiąc je na czerwono.

Barnim zeskokczył z konia, zdjął z głowy szyszak i wraz z rękawicami oddał go służącemu. Odpsał też miecz, pozostawiając sobie jedynie szylet, i wolnym krokiem ruszył ku rzece.

- Miłościwy panie, to niebezpieczne pozbywać się broni - zauważył rycerz Dobiesław, pan na Otoku, stając u boku księcia.

- Sami swoi - pokręcił głową Barnim, uśmiechając się pod wąsem. - Wszyscy dobrzy towarzysze, sprawdzeni w bojach, kogo niby miałbym się obawiać?

Dobiesław nie odpowiedział, wzruszył jedynie ramionami.

- Mój pan pozwolił wobec tego, że dotrzymam mu towarzystwa - powiedział z naciskiem, ni to pytając, ni twierdząc.

Barnim skinał głową i ponownie podjął swoją wędrówkę ku brzegowi rzeki. Mówili mu, że to Ina, ta sama, która wody swe toczy od Iniska przez Recz i potężny Stargard aż po Odrę. Gdyby w miejscu tym założyć miasto, z pewnością jego mieszkańcy nie wiedzieliby,

– Panie podczaszy, co chce pan powiedzieć? – z tyłu rozległ się czyjś głos. Podczaszy odwrócił się zaskoczony i dojrzał za sobą pana Konrada.

– Bron Boże panienci Katarzyny nie oskarżam – zapewnił gorąckowo. – Niemniej, miłoścywio panie, skoro trucizna została ciemne płamy, to i sama musiała mieć jakąś barwę. Jad taki dużo łatwiej niepostrzeżenie wymieszać z czerwonym niż z białym winem.

Rycerz zbliadł nieco na te słowa.

– Miej na moją córkę baczenie – polecił jednemu ze służących. – Chcę wiedzieć o wszystkim, co zrobił lub powie.

– Miłoścywio panie, mam ja pewien pomysł, dzięki któremu być może uda się ją skłonić do mówienia – rzucił podczaszy. – Czy możemy udać się do panienci Katarzyny?

– Jakż to pomysł? – spytał pan Konrad z ciekawością w głosie. Podczaszy zrobił chytrą minę i otworzył drzwi do komnaty, przepuszczając rycerza przed sobą. Ledwie zaś dojrzał Katarzynę, mru-gnął do niego porozumiewawczo i pełnym oburzenia głosem powiedział.

– To już więcej niż pewne, miłoścywio panie, pan Henning został otruty, a truciznę ktoś podać mu musiał w winie!

– Być nie może! – pełnym oburzenia głosem odparł rycerz, pojmując w mig podstęp podczaszego. Katarzyna tymczasem wyraźnie zbliadła i zatoczyła się, opierając się o ścianę. Podczaszy udał, że tego nie dostrzegł, lecz ciągnął:

– Wzieliśmy na spytki znachorkę, tę Wojsławę z Mołtowa. Przyznała się do uwarzenia śmiertelnego jadu. Nawet trucicielkę wskazała. Jest nią... – dramatycznie zawiesił głos, a Katarzyna w tej samej chwili osunęła się na ziemię.

– Do komnaty ją przenieść, zamknąć i dobrze pilnować – wycedził z wściekłością pan Konrad. – Takiem diabelskie nasienie wychował...? Pod sąd pójdzie!

Stało się tak, jak życzył sobie rycerz. Podczas procesu Katarzyna przyznała się do otrucia Henninga. Jak tłumaczyła, dawno już przyrzekła Bogu, że ufunduje kościół w Gościnie, jednak ani ojciec, ani brat – dziedzic rodowego majątku – nie chcieli nawet o tym słyszeć. Zabiła więc Henninga, którego hulaszce i rozpustne życie od dawna napełniało ją wielkim wstrętem, następnie zaś chciała w spokoju czekać na śmierć ojca, aby objąć po nim spadek. Mówiła zaś o wszystkim tak opanowanym głosem, że aż dziwowali się sędziowie, jak to możliwe, aby tak bardzo zepsuty człowiek chodził po świecie. W obliczu potwornej zbrodni wyrok mógł być tylko jeden: Katarzynę skazano na śmierć przez łamanie kołem.

Stało się jednak tak, że pan Konrad, mimo iż nadal wielce był na córkę rozżalony, wybaczył jej niegodny czyn. Gdy więc tylko zapadł

wyrok, czym prędzej wystąpił z prośbą o łaskę od samego papieża. Czy ktoś go o to uprosił, czy może sam zrozumiał, że wraz ze śmiercią Katarzyny nie pozostanie na Gościnie żaden dziedzic, nie było wiadomo.

Kilka dobrych miesięcy minęło, nim nadeszła odpowiedź z Rzymu. Cały ten czas spędziła Katarzyna w niewielkiej celi, modląc się za duszę brata. Jakież szczęście zapanowało w domu Grabsów, gdy odzyskano pergamin sygnowany papieską pieczęcią. Oto bowiem Ojciec Święty darowywał Katarzynie karę śmierci, nakładając w zamian ciężką pokutę. Na mocy papieskiego rozporządzenia miała się dziewczyna udać na pieszą pielgrzymkę do Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Każdego dnia w porze, gdy napoiła brata zatrutym winem, miała padać na kolana i tak wędrować przez kolejną godzinę, niosąc na ramieniu koło, którym miano ją łątać, i modląc się głośno, wyznawać wszem i wobec swój grzech.

Wiele czasu w drodze jej zeszło, wreszcie jednak dotarła szczęśliwie do Ziemi Świętej. Gdy zaś powróciła do Gościna, okazało się, że jej rodzice dawno pomarli, pozostawiając jej w spadku cały majątek. Aż do śmierci pozostała w rodzinnym domu, nie szczędząc grosza na biednych i chorych. Gdy zaś zmarła, pochowano ją nad brzegiem Gościnkiej rzeki, którą szczerze kochała, na jej grobie zaś ułożono wielki głaz, który wkrótce poczęto nazywać kamieniem Katarzyny. Zachował się on do dzisiaj, chociaż przed kilku laty zabrano go z dawnego miejsca i złożono niedaleko gościńskiego kościoła.

## Kamień świętego Otona

Szczecin

Były to dawne czasy, gdy wciąż jeszcze całe Pomorze wyznawało stare, rodzime bóstwa. Panował wówczas w wielkim i sławnym Szczecinie Trygław, bóg o trzech głowach i trzech parach oczu, którymi spoglądał na niebiosy, ziemię i świat podziemny. Szczecinianie wystawili mu bogatą kącinę, w jej środku wznosząc olbrzymi posąg, do którego zanosili modły. Żercy Trygławowej świętymi sprawowali wróżby i składali bogu ofiary, ciesząc się wśród ludu wielkim poważaniem. Tak oto płynęło życie zgodnie z dawnym obyczajem.

Przyszedł jednak czas, gdy nadmorską krainę najechał i zmusił do postuszeństwa książę Polan, Bolesław III, zwany Krzywoustym.

Ugiął się przed nim Gryfita Warcisław I, z kamińskiego stolca spruwający władzę nad Pomorzem. W ślad zaś za hołdem, który złożył Bolesławowi, docierać zaczęli na ziemię Trygława kapłani nowej wiary.

Pierwszego z nich, Bernarda, czym prędzej przegoniono, gdy do bogatego Wolina przybył boso i w podartych szatach, wpięrw wzbudzając śmiech, później niechęć. Po nim zaś przyszedł Otto, pasterz Kościoła bamberskiego, który już dużo większymi sukcesami mógł się pochwalić. Niezwykle bowiem lechało próżność Pomorzan, że oto nie byle księżyk, lecz sam biskup zjechał do ich kraju, aby opowiedzieć o swej wierze.

Żył zaś wówczas w Szczecinie człek potężny i bogaty, któremu Domasław było na imię. Dwór jego przyjmiewał swą świetnością nawet książęcą siedzibę, liczyl się z jego zdaniem wszyscy: sam książę Warcisław, decyzyje podejmując, wielkie miał baczenie na to, co o danej sprawie myśli Domasław.

Uważnie przyglądał się możny misji biskupa Otona, odkąd tylko ten zjechał na Pomorze. Dziesięć lat wcześniej przebywał bowiem pośród Sasów, gdzie przyjął chrzest. I chociaż później powrócił do starej wiary, bez wrogości spoglądał na działania biskupa. Chętnie nawet dałby mu schronienie na czas jego pobytu w nadodrzańskim grodzie, ubiegł go jednak wójt Wyszak, ze wszystkimi honorami przyjmując czcigodnego gościa.

Dnia któregoś Otto nauczał szczecinian, aby zaś lepiej było go widać i słyszeć, ustawił się na pokaźnym kamieniu. Byli wśród zgromadzonych dwaj synowie Domasława, Chwalimir i Dobiegnew, których nowa wiara szczególnie ciekawiła i fascynowała. Zauważył to sprytny biskup i jał ich osobiście religii nauczać, nie skąpiąc im bogatych podarków. Wreszcie zaś potajemnie udzielił im chrztu, prosząc, aby i ojca swego nakłonili do powrotu do wiary w Chrystusa.

Tymczasem zaś biskup Otto mówił o śmierci i życiu wiecznym, o winie i odkupieniu, a grodzianie słuchali go chętnie. Gdy jednak zaczął cytować dziesięć Bożych przykazań, tłum zafalował.

– Jakże to!? Bogów naszych ojców mamy porzucić? Posągi Trygława wszechmocnego obalić? – krzyknął ktoś z zebranych, na co gniewny pomruk przeszedł przez tłum. I chociaż Otto cierpliwie tłumaczył, podając liczne przykłady z życia, od chwili tej wśród ludu dała się odczuć narastająca wrogość. Coraz częściej rozlegały się pełne złości okrzyki. Wreszcie ktoś schwycił kamień i cisnął nim w stronę biskupa. Dostrzegł mądry Otto, że powinien przerwać swe kazanie, aby zebranych dłużej nie drażnić, czym prędzej więc zszedł z głazu i oddalił się.

Zebrani poczuli się rozchodzić do domów, Dobiegnew zaś w otoczeniu świty zbliżył się do kamienia, na którym jeszcze przed chwilą



stał biskup. Nagle krzyknął z zaskoczenia i czym prędzej zaczął głośno wołać, zachęcając ludzi do powrotu. Gdy zaś ci zebrali się wokół niego, wskazał im wyraźne odciski stóp widniejące na twardej powierzchni głazu.

– Świętobliwego męża przegoniście! – zakrzyknął.

– Bogów naszych obraża! – odpowiedział mu tłum.

– A jednak nie rzucił Trygław błyskawicą i nie spalił go! – wołał młodziwiec. – Czy ważne jest, jakie imię Bóg nosi? Skąd wiecie, że i on Trygława, choć pod innym mianem, nie czci? Milczycie? Ha! Ani wy, ani ja, ani nawet biskup Otto wiedzieć tego nie może! Zaś tutaj macie wyraźny znak dany przez niebiosy.

Nikt ze zgromadzonych nie odezwał się choćby słowem. Dobiegł zaś nakazał słuźbie kamień zabrać i do domu zanieść, aby uchronić go przed zniszczeniem. Wiedział bowiem, że wśród tłumy kręć się żercy Trygława i domyślał się, iż uczynią wszystko, aby odwieść szczecinian od przyjęcia nowej wiary. Następnie zaś, jak biskupowi przyobiecał, wraz z bratem udał się do ojca i, okazując mu cudowny gład, jął go namawiać do ponownego chrztu. Zdołał wreszcie przekonać Domastawa i już następnego dnia możny wraz z pięcioma setkami swych krewnych, domowników i słuźby pozwoił się ochrzcić.

\* \* \*

Wiele czasu minęło, odkąd zwalono słowiańskie świątynie Szczecina, a na ich miejscu pobudowano kościoły. Ludzie umierali i rodzili się, zaś kamień z odcisniętymi śladami stóp biskupa Ottona pozostawał w posiadaniu potomków Domastawa. Dwa wieki po tych wydarzeniach wielki książę Barnim III rozpoczął budowę swego dworu na tym samym wzgórzu, gdzie kiedyś stała najslawniejsza kęćca Trygława. Oponowali przeciw temu mieszczanie, do wolności przyzwyczajeni, nic jednak nie wskórali. Gdy zaś stało się jasne, że stoją na straconej pozycji, podarował Konrad, potomek Domastawa, drogocenną relikwię księciu, pod warunkiem jednak, że zamkowemu kościołowi nada on wezwanie świętego Ottona. Tak też się stało, zaś gład Ottonowy, wmurowany w ścianę, można było tam oglądać jeszcze przez wiele lat.



po nie ręce, pojawił się przed nimi chłopiec o złotych włosach i głosem cichym, acz stanowczym, zabronił im zrywania owoców z drzewa.

- Czekaliśmy na was - powiedział do zaskoczonych mężczyzn. - Pójdźcie ze mną, zaprowadzę was do kaszubskiego króla.

- Do kaszubskiego króla? - spytał jeden ze skazańców. - Nic o żadnym królu nam nie mówiono...

- Bo i nikt wiedzieć o nim nie mógł - wesolo odpowiedziało dziecko. - Najjaśniejszy pan was wypatruje, nie godzi się, aby długo kazać mu czekać.

Mężczyźni przyznali chłopcu rację i ruszyli w ślad za nim, szeptem wymieniając spostrzeżenia. Jeden z nich oznajmił nawet, co i gdzie umieści burmistrzowi po powrocie w podzięce za sytuację, w której się znaleźli. Słyszając to, chłopiec zatrzymał się i surowym spojrzeniem zmierzył złoczyńcę.

- Za darowanie życia winni jesteście burmistrzowi Lęborka wdzięczność - powiedział. - Baczcie, aby takie słowa nie padły z waszych ust w obecności króla.

Droga do królewskiego zamku wiodła przez pyszne ogrody, pośród szumu wody tryskającej z fontann, dźwięku muzyki i śpiewu ptaków. Mężczyźni oglądali te wspaniałości, z podziwem komentując ich piękno. Jeden z nich zwrócił się wreszcie do chłopca:

- Dziecko drogie, zdradź nam, kim jest ów kaszubski król, jakie ma imię i ku czemu zmierza. Chcielibyśmy wiedzieć, komu przyjdzie nam oddawać pokłon.

- Nie jest to wiedza przeznaczona dla was - usłyszał w odpowiedzi. - Bądźcie jednak spokojni, nikt wam krzywdy tu nie uczyni. Powiedzieć mogę jedynie, że król nasz od stuleci rozacza opiekę nad pomorską ziemią. Gdy zaś będzie to konieczne, a Pomorze znajdzie się w niebezpieczeństwie, jego legiony opuszczą podziemia, aby wesprzeć w boju prawowitych władców.

Dotarli wreszcie do wspaniałego zamku o wyniosłych wieżach i wielkiej bramie, przez którą weszli na dziedziniec. Chłopiec poprowadził ich do środka budowli, w kierunku sali tronowej, gdzie na srebrnym krześle zasiadał kaszubski król. Odziany był w złote szaty, na głowie zaś miał ciężką koronę. W prawej dłoni dzierżył berło inkrustowane szlachetnymi kamieniami, w lewej z kolei trzymał zwinięty arkusz pergaminu zaopatrzonego pieczęcią. Na widok chłopca i jego towarzyszy uśmiechnął się lekko i dał im znak dłonią, aby podeszli bliżej. Lęborkanie pokłonili mu się nisko, chłopiec zaś podeszedł do tronu, odebrał królewski dokument, po czym wręczył go jednemu ze złoczyńców.

- Koniec posłuchania - powiedział, a następnie wyprowadził mężczyzn z komnaty. Gdy zaś opuścili zamek, powiedział do nich:

- Zanieście to pismo burmistrzowi Lęborka, a następnie natychmiast opuście miasto. Nie próbujcie jednak złamać pieczęci, bo kara was za

to nie minie. Gdyby zaś ktokolwiek pytał, co was w podziemiach spotkało, milczcie jak grób. Nie jest to bowiem ludzka sprawa, aby wieść o tym miejscu. Teraz zaś odprowadzę was do wyjścia.

Dwaj skazańcy nigdy już nie powrócili do Lęborka. Czy złamali zakaz i zapoznali się z królewskim dokumentem? A może, nie ufając burmistrzowi i lękając się o życie, nie mieli w ogóle zamiaru wracać? Nikt tego nie wie. Gdy jednak po kilku dniach bezskutecznego okazywania posłali rajcy kilku mieszczan na Jelenią Górę, rozpadliny prowadzącej do włości kaszubskiego króla już nie było.

## Kiełbasa błazna Mikołaja

Sowno, Szczecin

Dumał Mikołaj, zamknięty w swojej izbie. Zachorzał coś ostatnio jasnie pan Jan Fryderyk, książę na szczecińskim zamku. Trawiony nieustającą gorączką bladł i chudł, nieczułym stając się nawet na Mikołajowe żarty. Niezwykle martwiła błazna choroba jego dobroczyńcy. Bo jakże to: ten potężny Jan Fryderyk, któremu kłaniali się wysłannicy mocarstw, gdy w szczecińskim ratuszu przyszło w 1570 roku do podpisania traktatu kończącego wojnę między Danią i Szwecją, który siedzbę swą tak pysznie pobudował, że żaden inny zamek w Rzeczy nie mógł się z nią równać, który wreszcie jego, Mikołaja, wydobyl z nędzy, czyniąc go swym błaznem...?

A było to tak: za młodych lat spędzanych w rodzinnym Sownie chodził Mikołaj pasać gęsi. Usłyszał kiedyś, że przez wieś przejeżdżać będzie z orszakiem książę, zmierzając do swego pałacu w pobliskim Podlesiu. Zaciekawiony wielce, jak też taki orszak może wyglądać, potapał wszystkimi ptaszyskami i, co by mu się nie rozbiegły, związał je postronkiem, przetrzczył sobie ramię i tak wyruszył na spotkanie księcia pana. Serdecznie uśmieł się Jan Fryderyk, widząc na swej drodze małego obdartusa z naręczem wyrwających się i głośno gęgających ptaków. Od razu też nasza go myśl, aby zabrać chłopca na swój dwór i kazać uczyć na błazna. Tak też się stało: od dwudziestu z górą lat Mikołaj zabawiał księcia, a i nieraz służył mu radą.

Odkąd książę zaczął słabować, Mikołaj nieustannie dumał, jak ulżyć mu w cierpieniu. I nagle nasza go myśl, nagła i niespodziewana: podszedł przeciw kiedyś w mieście, jak to przekupki gadały, że chorego z gorączką ochłodzić wpięty trzeba, zanim się za leczenie weźmie. Mi-

kołaj zerwał się z krzesła i wybiegł z izby. Wiedział bowiem, że o tej porze książę, mimo że osłabiony, zwyczajnie zażywać przechadzki.

\* \* \*

Jan Fryderyk spacerował po zamkowym ogrodzie, oparty o ramię marszałka dworu. Wędrował właśnie ścieżką prowadzącą wzdłuż fosy, gdy nagle poczuł na plecach czyjeś ręce. Pchnięty silnie przez Mikołaja stracił równowagę, przeokołkował przez niski muręk i poleciał głową naprzód do wody. Jakież szczęście, że lato było upalne, a fosa przypominała bagnisko, gdyż inaczej ani chybi utopiłby się! Gdy Jan Fryderyk z niemałą pomocą marszałka wygramolił się z błotnistej rowu, ujrzał przed oczami przytrzymywanego przez strażę Mikołaja, wołającego: „Skoro-książę się ochłodził, to i choroba z niego wyjdzie!”

Wzruszył się książę w głębi duszy, ale jako że chodziło tu o nadszarpnięty majestat, postanowił dać białonowi nauczkę.

\* \* \*

Wina podsądnego była bezsporna, więc posiedzenie nadwornego sądu nie trwało długo. Zgodnie z wyrokiem winny obrazy majestatu i próby pozabawienia życia miłościwie panującego Jana Fryderyka Mikołaj Hinte miał dać gardła.

Przerażony Mikołaj klęczał na szafocie, złożywszy głowę na pniu. Wyjątkowo ze względu na jego wcześniejsze zasługi miłościwy książę zgodził się na egzekucję w zamku, w obecności nielicznych, aby zaoszczędzić białonowi dodatkowego upokorzenia.

Herold raz jeszcze odczytał wyrok, książę pobłogosławił skazańca, kat zamachnął się...

Zanim świat zasłonił mrok, Mikołaj poczuł tylko mocne uderzenie w szyję.

Wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem, bowiem kat dzielił białona w kark wielkim pętem kiełbasy. Rozległy się wivaty na cześć księcia, który obmyślił tak doskonały dowcip. Ktoś zauważył jednak, że Mikołaj, choć powinien być już wstać i zdziwionym wzrokiem toczyć wokoło, nie rusza się. Obecni zaczęli wołać, że Jan Fryderyk umówił się wcześniej z białonem, aby ten udawał nieżywego, jednak jeden rzut oka na pobladałą książęcą twarz zdradzał, że nie miał on z tym nic wspólnego. Czym prędzej postano więc po medyka, który stwierdził zgon: oto serce Mikołaja pękło, nie wytrzymało okrutnego żartu.

Długo opłakiwał Jan Fryderyk swego wiernego towarzysza. Nakażał urządzić mu wystawny pogrzeb w rodzinnym Sownie, które od-

ład miało zwać się Wsią Hintzego – Hintzendorfem. Do dziś zachowała się płyta nagrobna nieszczęsnego Mikołaja: znajduje się na niej jego wizerunek z przewróconym kufem u stóp i kiełbasą w dłoni.

## Kiełbasa po Darżkowsku

Darżkowo

Ranikiem nad Darżkowem niósł się wielki kwik, wieśniacy bowiem urządzili świniobicie. Świnń wielu nie mieli, wobec czego zaszlachtowali tylko jedną, następnie zaś ustawili się nad nią kołem i zaczęli radować, jak spożytkować mięso.

– Na ogniu upieczmy – poradził gruby Mikołaj, głośno przetykając szinkenę. – Nie ma to jak ciepłutkie, tłusciutkie mięsko.

– Ty byś jadł tylko! – zarzuciła mu stara Michalina swym jazgotliwym głosem. – Ja mówię, abysmy mięso zapeklowali, a potem na wędliny przerobili!

– E tam – skrzywił się w odpowiedzi cieśla Stefan. – Mikołaj dobrze prawi. Upiec i ucztę dla całej wsi wyprawić.

I tak od słowa do słowa wybuchła wielka awantura. Harmider taki się zrobił, że aż z chaty wybiegł Jan, syn sołtysa. Widząc, że niektórzy biorą się już za kudły, wskoczył na stojącą nieopodal beczkę i z jej wznosząc krzyknął głośno na walczących. Gdy zaś wieśniacy wytumaczyli mu, o co sprawa się rozchodzi, wziął się pod bok, spojrzął na nich z politowaniem i zdecydował:

– Uwarzymy kiełbasę.

Zebrałi spojrzeli po sobie, kiwając głowami, pomyśl ten bowiem wydał im się bardzo dobry. Powstał jednak poważny problem, nikt bowiem nie wiedział, w jaki sposób się za to zabrać. Jedyny darżkowski świniarz całkiem niedawno odszedł z całym dobytkiem, mrużąc pod nosem rzeczy nieprzystojne pod adresem wieśniaków. Nic zresztą dziwnego, skoro Jan połowę inwentarza w stawie mu utopił.

– Wiedziałem kiedyś, jak to się robi – powiedział syn sołtysa, namyślwszy się przez chwilę. – Ja będę wami dyrygować, a wy będziecie pracować pod moją komendą.

Darżkowanie wzięli się ochoczo do pracy. Czym prędzej przygotowali mięso i wypchali nim świńskie jelito. Gdy jednak przyszło do warezienia, okazało się, że lepiej byłoby postąpiłi, gdyby przygotowali wię-

Jak co roku, tak i w ten Wielki Piątek do Bania ciągnęły tłumy. Ludziska zjeżdżali nie tylko z pobliskich wiosek i miasteczek, lecz i z dalszych stron, aby przyglądać się słynnym na całe Pomorze wielkocnym misteriom męki Pańskiej. Był wśród nich i Gotfryd, kupiec powracający z dalekiej podróży do rodzinnego Szczecina. Rozmyślnie tak ułożył sobie drogę, aby uczestniczyć w przedstawieniu.

Oto i wielobarwny pochód ukazał się w miejskiej bramie. Aktor przebrany za Jezusa na własnych ramionach niósł krzyż, inni zaś, ucharakteryzowani na Rzymian, popędzali go, nie szczędząc mu mawkanych razów. I chociaż wszyscy wiedzieli, że dzieje się to tylko na niby, niejedna pięść zacisnęła się w tłumie na widok udręczonego, pyłem i krwią pokrytego Zbawiciela.

– Henryk w tym roku za Jezusa idzie – rzucił ktoś. – Podobno całoroczny zupełny odpust za to otrzyma.

– Przyda mu się – zachichotał kto inny. – Alicja przeciw Marię Magdalenę odgrywa. Ślepy by dojrzał, że jest coś między nimi.

– To jeszcze nic! – do uszu Gotfryda dobiegł głos trzeci. – Ulryk Longinusem będzie.

– Niemożliwe! Przecież on również do Alicji cholewki smaśli!

– Oby tylko nic złego z tego nie wyszło... – westchnęła jakaś kobieta.

– A co oni, dzieci? Takie babskie gadanie. Nie wyszło Ulrykowi, wybrała drugiego – trudno. Przecież gdyby Ulryk urażę czuł, nie bratałby się wzoraj w oberyż z Henrykiem – skwitował ktoś z oburzeniem w głosie.

Procesja doszła wreszcie na miejsce, zatrzymując się pod malenką kapliczką świętego Jerzego. Wśród okrzyków tłumu powalono Henryka na ziemię i zdarto z niego szaty, po czym przywiązano do krzyża, który zawieszono na wpuszczonych w ścianę kaplicy hakach. Na znak obecnego na miejscu proboszcza, uczestnicy przedstawienia zaintonowali żalobną pieśń, natychmiast podchwyconą przez tłum. Gdy zaś wybrzmiały jej dźwięki, pod krzyż zbliżyła się lamentująca głośno dziewczyna, której towarzyszył wysoki, postawny mężczyzna.

– Oho, i Tomasz udział bierze – usłyszał Gotfryd czyjś szept. – A to niecnota, z niczym się nie zdradził.

– Siostre! Pewnie chce mieć na oku – rzucił ktoś w odpowiedzi, z wyraźną drwiną w głosie.

Maria Magdalena i Jan Ewangelista tkwili tymczasem pod krzyżem. Ona, padłszy na kolana, zawodziła żalobnie, doskonale udając rozpacz. On, z chmurnym czołem, stał wyprostowany i milczący, spoglądając w górę na twarz Jezusa. Nagle wśród tłumu przebiegł szmer, bo oto od

noszenia netnu, wskatł bowiem głowę w ramiona pod jego ciężarem, kroczył jednak pewnie i dumnie. Widząc go, ukrzyżowany uniósł głowę do nieba i zawołał głośno, tak aby wszyscy mogli go dobrze słyszeć:

– Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?

Tłum gapiów zamartwiał w ciszy, w oczekiwaniu na to, co stać się miało za chwilę. Odgrywający rolę Longinusa Ulryk zbliżył się do krzyża i przytknął piękę do boku Henryka, po czym pchnął ją z całej siły, przebijając nie tylko przymocowany do boku mężczyzny woreczek z bydłą krwią, lecz również jego serce.

Mimowolny skurcz mięśni rzucił Henrykowym ciałem, zaś krzyż, do którego był przywiązany, zsunął się z haków i runął prosto na kłęczącą pod nim Alicję. Dziewczyna zdążyła tylko krzyknąć i zasłonić się ręką, nim przysięgnął ją do ziemi.

Najbliżej stojący ludzie rzucili się na pomoc. Niestety! Alicja nie oddychała, gdy wyswobodzono ją spod krzyża. Również Henryk nie dawał znaku życia. Tomasz, który wszystko doskonale widział, zaczął krzyzczeć, że do zbrodni i świętokradztwa wielkiego doszło, jednak nikt ze zdeorientowanych gapiów nie ruszył się z miejsca, aby powściągnąć sprawcę. Brat Alicji rzucił się więc ku Ulrykowi, za gardło go chwycił i udusił. Dopiero wtedy tłum zafalował i z rykiem otoczył Tomasa. Setki rąk wyciągnęły się ku niemu, bijąc, drapiąc, rozdzierając ciało. Sam Gotfryd cudem uniknął zdeptania, gdy napierający ludzie powalili go na ziemię. Wycofał się czym prędzej, aby z bezpiecznej odległości oglądać kottującą się ludzką ciżbę.

Tragiczne bańskie wydarzenia odbiły się głośnie w całym księstwie. Sam biskup kamiński wysłuchał relacji o nich w tak wielkim przerażeniu, że natychmiast po wszystkiej chwili zakazał wystawiania owych misterii. Na Pomorzu przyjęło się zaś, aby o przedsięwzięciu, które zakończyło się zupełnym fiaskiem, mówić, iż „poszło jak przedstawienie w Baniu”.

## Książę Eryk i Darłowanie

Darłowo

W darłowskim ratuszu rozpoczęły się właśnie obrady rady miejskiej. Wszyscy zasiedli już na swych miejscach, brakowało tylko burmistrza.

Pojawił się dopiero po dłuższym czasie, wpadając z hukiem do sali obrad. Na twarzy był cały czerwonny, a jego oczy ciskały wokół błyskawice. Gdy go pozdrowiono, machnął tylko ręką w odpowiedzi, po czym ciężko zwałił się na fotel, mamrocząc coś pod nosem.

– Cóż to się stało, panie burmistrzu? – spytał jeden z rajców. Zagadnięty zmierzył go ponurym wzrokiem.  
– Potwierdziły się słuchy o tym, że nasz jasnie pan bałamuci w Dario wie białogłowy – wycedził przez zęby.

Po sali przebiegł szmer. Część rajców spoglądała na siebie z oburzeniem, część – wręcz przeciwnie – z uciechą trącała się łokciami, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. Ktoś z obecnych spojrzął na chmurne oblicze burmistrza, po czym, w nagłym olśnieniu, krzyknął głośno:

– Być nie może! Czyżby książę Eryk samemu burmistrzowi taki zaszczyt wyrządził?

Tego już było za wiele! Burmistrz zerwał się z siedzenia, z rozmachem uderzył rękami w stół i wlepił w rajcę wzrok straszny, przeszywający niczym najostrzejszy miecz. Ten zaś skulił się i zamilkł.

Teraz dopiero się zaczęło! Zebrani zaczęli przekrzykiwać się wzajemnie, powodując coraz większy harmider.

– Jestem za tym... – przez ogólny wrzask przebił się głos jednego z rajców. – Jestem za tym, aby od tej pory przed księciem naszym bramy miejskie zawrzeć!

Wszyscy umilkli, wpatrując się w starego żeglarza Mikołaja, on to bowiem taką propozycję złożył. Ten zaś, z zadowoleniem głaszcząc siwą brodę, ciągnął swą myśl:

– Niechże nasz książę siedzi w swoim zamku za murami Dartoła. a jeśli mało mu dziewczek, niechże do sąsiednich wsi, a nawet i do Sław na się wybiera. Nie możemy pozwolić, aby nasze żony i córki padały ofiarą tego rozpustnika.

Pomyśl Mikołaja wszystkim bardzo przypadł do gustu. Odkąd bowiem książę Eryk i, zdetronizowany w trzech skandynawskich królestwach i przepędzony przez swych dawnych poddanych z Gotlandii, powrócił na Pomorze, regularnie wyprawiał się z odwiedzinami do co nadobniejszych dartołskich niewiast. Bo chociaż nie był już młody, to siły nadal go nie opuszczały, a i wciąż mógł się podobać, był bowiem wysoki i przystojny, o silnych, męskich rysach. Wizyty te nie pozostały bez echa i wreszcie mieszczenie poczęli sarkać na księcia, zrazu po cichu, przzywyczajony, aby brać to, co jednak niewiele sobie z tego robił, przyzwyczajony, aby brać to, co w jego mniemaniu mu się należało. Przez długi czas również sam pan burmistrz, pragnąc utrzymać jak najlepsze stosunki z Erykiem, nie dopuszczał do siebie głosów sprzeciwu – teraz jednak, gdy padło na jego córkę, najgłośniejszy wołał, aby wreszcie z tymi bezceństwami zrobić porządek.

Jak postanowiono, tak zrobiono. Gdy następnego dnia książę Eryk chciał dostać się do miasta, zastał jedynie zamkniętą bramę. I chociaż długo wołał, aby wpuścić go do Dartoła, grożąc przy tym najstraszniejszymi karami, strażnicy pozostali głusi na jego krzyki. Odwrócić się wreszcie i jak niepyszny powrócił do zamku.

– Ja, dzierzyciel trzech koron skandynawskich, książę Pomorza, miałbym ugiąć się przed nimi? Już ja im pokażę! – odgrażał się w myślach. – Przepędzono mnie ze Szwecji, Dani i Norwegii, przepędzono z Gotlandii, ale z Dartoła przegonić się nie pozwolę.

Tymczasem w ratuszu burmistrz i rajowie gratulowali sobie salomonowego rozwiązania trapiącego ich problemu. Radość ta nie trwała jednak długo: nagle bowiem rozległ się głośny huk, a od strony zamku nadleciała ciężka kamienna kula armatnia. Niczym grom z jasnego nieba spadła na jeden ze stojących przy rynku domów, wybijając w jego ścianie pokazną dziurę.

Burmistrz dopadł do okna i ze zgrozą obserwował, jak pociski z zamkowych armat drugą kolejną budynki. Coraz więcej ludzi zbierało się na rynku, lamentując i złorzecząc. Gdy zaś rajcowie opuszcili ratusz, tłum otoczył ich, miotając w ich kierunku obelgi.

– Naprawcie, coście zepsuli! – wołał ktoś. – Bo inaczej przywiążemy was do tych kamieni, które książę na nas miota i utopimy w Więprzy!

Atmosfera gęstniała z minuty na minutę. Widząc, że to nie przelewniki, burmistrz nakazał otworzyć wrota prowadzące do zamku, a następnie w towarzystwie rajców udał się do księcia i, padając przed nim na kolana, jął go błagać, aby zaprzestał ostrzału.

– Ach, przysłiście więc o łaskę u nas żebrać, psie pomioty! – zawołał Eryk, śmiejąc się głośno. – I na cóż wam to było, niewdzięcznicy?

– Wybacz nam, głupcom, miłośnicy panie – szeptał burmistrz. – Już nigdy bram przed tobą nie zamknijemy, jeno przestań do nas strzelać.

Władca spojrzął na niego z triumfem w oczach.

– Zapamiętajcie dobrze tę lekcję, łotry – powiedział. – Znajcie też naszą łaskawość, oto bowiem przebaczymy wam i w niepamięć puszcza my wasz czyn lekkomyślny. Teraz wstańcie i wracajcie do miasta, a bramy nie zapomnijcie otwartej zostawić.

– Miłośnicy panie... – burmistrz zebrał się na odwagę. – Ale nasze białogłowy i dziewki... Wszystko to z tego powodu było...

– Posłuchanie zakończone – uciął Eryk. Gdy zaś mieszczenie opuścili zamek, długo jeszcze stał przy oknie, uśmiechając się znacząco.

sumen i do dawnej tradycji, która nakazywała przyjąć każdego przybysza jak najdroższego gościa.

– Wybaczone mu będzie, jeśli opuści Wolin! – zawołał ktoś, zaś Żerca pokławił siwą głową i potwierdził:

– Nim słońce zajdzie, odejdzie tak on, jak i jego przewodnik, i nigdy już do Wolina nie powrócą!

Odpowiedział mu głośny ryk tłumu. Kapłan tymczasem ujął Bernarda i Grzymistawa pod ramiona, sprowadził ich z podestu i powiódł na przystań, ku łodzi.

– W łodzi znajdziecie prowiant na dwa dni. Płynięcie rybom głosić kazania – powiedział chłodno. Grzymistaw podziękował mu wylewnie, zaś Bernard, pewnie uświadomiwszy już sobie popełniony błąd i niezręczność, z uśmiechem przeżegnał go znakiem krzyża. Żerca wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł, a Grzymistaw odbił od nabrzeża i wraz z pechowym misjonarzem wypłynął na wody Dziwny. Chwyciwszy w żagle korzystny wiatr, ruszyli do pobliskiego Kamienia, aby księciu Warcisławowi i zdać relację z wolińskich wydarzeń.

## Morski król

Rostkilde, Kungälv (Konungahela), Usedom (Uznam)

Okręty Racibora I, niesione wiatrem, przemykały lekko niby ptaki po wodach fiordu. Na dziobie otwierającego sztyk statku stał sam książę, bacznie tocząc wokół wzrokiem. Po chwili nakozył na głowę szyszak i w zupełnej ciszy gestem wydał polecenia stojącym obok niego żeglarzom.

Chociaż zapadła noc, gwiazdy i księżyc dawały dość blasku, aby oglądając się za siebie, widzieć mógł przerażające, czarne niby smółta żagle rańskich łodzi. Oprócz opowieści o bitewnym szale, w który wprowadzać się mieli rugijscy wojownicy, to właśnie one stały największy postrach wśród przeciwników, zdając się flagami samego Lucyfera. Nic więc dziwnego, że na samą myśl o tych straszliwych pogonach, oznajmiających swe przybycie wilczym wyciem, ręce chrześcijan same składały się do modlitwy.

Sam Racibor traktował Ranów z pewną dozą niechęci. Bo któż to widział, aby chrześcijański władca sprzymierzał się z poganami przeciw swym współwyznawcom. Był jednak ku temu i czas, i powód. Oto bowiem Słowianie musieli się zjednoczyć, aby dać odpór zagrażające-

mu ich krajom królowi Erykowi II. Nie było zaś nic lepszego, aby Duńczyków upokorzyć, od przesławnej, wielkiej floty i chałśniaków księcia Racibora.

Oto i duńska stolica, Roskilde. Uśpione, spokojne miasto. Już w ciemnej nocy wzbija się ryk z tysięcy gardeł, już pierwsze łodzie Pomorzani i Ranów lądują na brzegu fiordu, już wskazują z nich wojownicy i ruszają ku miastu, gdzie nie znajdują niemal żadnego oporu. Już płoną pierwsze domy, zewsząd rozlegają się krzyki i płacze, a krew szerokiemi strumieniami płynie ulicami miasta. Nawet strażnicy w górującej nad portem warowni, choć zaalarmowani harmiderem mieli dość czasu, by przysposobić się do obrony, ulegają przeważającym siłom słowiańskim. Oto i duńska chorągiew na wieży fortecy chwije się i pada w ogień, a Słowianie pładrują, pładrują, pładrują...

Tak jak zniemacka się pojawili, tak i szybko zniknęli ze zniszczonego Roskilde, unosząc z sobą wielkie łupy. Długo optakiwali Duńczycy swych zabitych, w głowę zachodząc, jak to możliwe, aby ich własna stolica uległa naporowi Słowian. Od tej pory imię księcia Racibora stało się sławne wśród nadbałtyckich ludów. Gdy zaś rok później wraz ze swym siostrzeńcem Dunimystem najechał on ludny i bogaty port Konungahelę, niszcząc go tak, że już nigdy nie powrócił do dawnej świetności, tak jego towarzysze, jak i przeciwnicy nadali mu szeptane z nabożną czcią miano morskiego króla.

I chociaż przemija tak ludzkie życie, jak i potęga, pamięć o niezwyczajnych czynach żyje nierzadko przez całe wieki. Jeśli więc przyjdzie wam odwiedzić Uznam, miasto położone na wyspie o tej samej nazwie, zajdziecie do kościoła stojącego pośrodku rynku i odszukajcie płytę nagrobną księcia Racibora i jego żony Przybysławy – ostatnią pamiętkę po tym, który dawno temu powalił na kolana potężną Danię.

## Morze Czerwone

Stargard

Wszyscy jeszcze świeżo w pamięci mieli te straszne dni sprzed kilku lat, kiedy do pomorskich granic dotarła wielka i krwawa wojna religijna, od dłuższego czasu już wstrząsająca Rzeszą, którą potomni, dla jej długości, mieli ochrzcić trzydziestoletnią. Cóż innego mógł uczynić książę Bogusław, by ochronić swój kraj i poddanych, jak podpisać narzucony mu przemocą akt kapitulacji...? Tak oto pro-

testanckie Pomorze dostało się w wątpliwą opiekę katolickiej armii cesarskiej. Nie dbał cesarski dowódca, sławny Albrecht von Wallenstein, o zachowanie choćby pozorów poszanowania niezależności nadmorskiego kraju, dławiąc go bezlitosnymi kontrybucjami i kontryngentami. Po miastach i wsiach kwaterowali żołnierze, objadając je ze wszystkiego, co zjeść się dało, rabując, gwałcąc i mordując. Jedynie Strzałów, wsparty przez Duńczyków i Szwedów, oparł się Wallensteinowej nawale i stał się pierwszym szwedzkim przyczółkiem na pomorskiej ziemi.

Przez trzy lata Wallensteinowy but dusił Pomorze. Gdy więc usłyszano, że król Gustaw II Adolf wylądował na Uznamie, kierując się w głąb kraju, wśród udręczonych Pomorzan zapanowała wielka radość. Toż to Szwedzi, bracia w wierze, protestanci jak i oni! Nie zostawią Pomorza na pastwę Wallensteina! Przegonią precz jego wojska, tak jak uczynili w Strzałowie!

Pionne były to jednak nadzieje, bo oto Szwedzi zaczęli sobie poczynać zupełnie jak cesarscy żołdacy. Nawet, rzecz niesłychana, powazyli się odsunąć od rządów samego księcia Bogusława! Obce wojska parły przez pomorską ziemię, niszcząc to, co jeszcze dało się zniszczyć. Wyludniły się świetne niegdyś grody. Nie było w pomorskim kraju choćby jednej rodziny, która w wojnie nie straciłaby kogoś, dzieci zaś, miast dawnych radosnych piosenek, zwykły śpiewać:

*Leć, chrabąszczu, dalej, leć!*

*Ojcu w wojnie przyszło lec.*

*Matkę w Pomorzu zostawił,*

*A Pomorze ogień strawił.*

Wśród tego żywiołu, niczym głazy pośród spienionego morza, tkwiły dumnie stare pomorskie twierdze. Jedną z nich był prastary i prześwietny Stargard. Chociaż wyludnił się i wielce zubożał, jego mieszkańcy nie tracili ducha. Mimo że Szwedzi srodze zawiedli ich swoim postępowniem, stawali z nimi ramię w ramię, dając odpór cesarskiej armii, która nieraz usiłowała odbić miasto. Zdarzyło się zaś którejs nocy, że wroowie zakradli się podstępnie pod miejskie mury w miejscu, gdzie broniąca Stargardu fosa była najszerza i najgłębsza. Sądził bowiem, że na tak trudno dostępnym odcinku fortyfikacji znajdzie się niewiele straży, co pozwoli im łatwo dostać się do miasta. Jakże się przeliczyli! Dojrzał ich bowiem jeden ze strażników i po cichu zaalarmował innych.

Ledwie cesarscy żołnierze wspięli się na mury, a już przywitał ich grad strzał i kamieni. Szwedzi i stargardzianie bronili się dzielnie i po całonocnym boju zdołali odeprzeć niespodziewany atak. Gdy zaś słońce wzeszło na niebie, u stóp Bramy Pyrzyckiej ukazało się oczom obrońców wielkie czerwone grzęzawisko: to krew pokonanych cesar-

skich żołnierzy, których trupy zalegały całą okolicę, wsiąkła w ziemię, tworząc prawdziwe morze czerwieni.

Od tego czasu basztę wznoszącą się nieopodal Bramy Pyrzyckiej, z której roztaczał się najlepszy widok na pobożowisko, poczęto nazywać Morzem Czerwonym. A gdy wiele lat później w dolnej części wieży przebito przejście, powstało powiedzenie, które nawet dziś często się słyszy, iż „w Stargardzie można suchą nogą przejść przez Morze Czerwone”.

## Mysi zaprzęg

Grimmen (Grzymie)

Nad Grzymiem zapadła ciemna noc. Spało całe miasto, znużone długim dniem, jedynie straż nocna czuwała, podkutymi butami miiarowo wybijając godziny na mokrym od deszczu bruku.

Jedynie? Nie! Nie spał również Fryderyk, młodzieniec wścibski i ciękawy świata. Oto bowiem nadeszła noc Walpurgii, jedyna taka w roku, gdy wszystko, co złe i straszne, wyłaziło z piekielnych otchłani na ziemię, swawoląc od zmierzchu do świtu. O zakład grubszy tu szło, którego wypełnieniem chłopak miał potwierdzić swą odwagę. Miał bowiem zerwać kapelusz z głowy woźnicy upiornej karocy, która co roku w tę jedną noc przemierzała miasto.

Oto już zaczęła bić północ i nadjechał widmowy powóz, z turkotem tak wielkim, że aż zabrzęczały szyby w oknach okolicznych domów. Cały zbudowany z kości i czaszek, ciągnięty był przez cztery czarne myszy, a powożony przez siedzącego na koźle wysokiego mężczyznę. Postać jego skrywał czarny płaszcz – dopiero przypatrując się bliżej, można było dojrzeć kurze stopy migające pośród fałd stroju – twarz zaś ginęła pod kapeluszem z szerokim rondem.

Nie wiedział nikt, kto podróżuje tą karocą, bowiem czarne, nieprześwitujące draperie zakrywające okna nie pozwalały nic dojrzeć z tego, co działo się w środku – nikt rozsądny nie próbował jednak tego dociekać, a tym bardziej sprawdzać.

Ledwie dał się słyszeć odgłos nadjeżdżającego powozu, Fryderyk wyskoczył z domu i pędem rzucił się w stronę, z której nadchodził hałas. W tym samym czasie jego bliski przyjaciel, wyznaczony do dopilnowania, by przy wykonaniu zadania nie doszło do żadnych oszustw, spod drzwi wejściowych bacznie obserwował każdy jego krok.

Zesli z wysokiego wzgórza, na którym znajduje się poczynyście Stare Miasto, i stanęli nad brzegiem rozlewiska.

- Rzeczywiście, coś się tam kłębi - powiedział pastor niepewnie, wyciążając wzrok pośród zapadających ciemności.

- Siarką aż tu śmierdzi - dodał Michał, zatykając nos. Krzych zaś, nie czekając ani chwili dłużej, raz jeszcze rzucił się do wody i ruszył ku miejscu, z którego dochodził głośny bulgot.

- O rany! - po chwili do stojących na brzegu dotarł jego przerażony okrzyk, stłumiony przez wiatr.

- Co się stało, Krzychu? - zawołał pastor.

- W błocko się zapadłem, proszę księdza! - wrzasnął w odpowiedzi tkacz.

- Diabły widzisz jakie?

- Ani jednego! Pewnie siedzą teraz na dole i radzą, jak dziurę zatkać. Och! A niech mnie! Na Boga jedynego! Coś dziwnego mi się stało! Strzykanie w kościołach mi przeszło! A od tyłu lat we znaki mi się dawało!

- A to ciekawe - mruknął do siebie pastor. - Słyszałem o takim przyпадку.

- Proszę księdza!

- Tak, Krzychu?

- Ja chyba wiem, gdzie jestem... Ja... przepraszam... Tutaj z ziemi zaświsało źródło ciekło... Ale śmierdzące było i o wodzie tak wstrętniej, że nikt pić jej nie chciał...

Po chwili rozległ się głośny chlupot i tkacz z powrotem pojawił się przy brzegu.

- I po krzyku - powiedział smętnym tonem, a wszyscy wokół rozśmiali się na to stwierdzenie, w jego ustach bardzo dwuznaczne. - Lepiej chyba, abym w mieście się nie pokazywał...

- Z Krzychem wszystko dobrze będzie - uśmiechnął się pastor. - Prawdę mówiąc, wszyscy powinniśmy sławić teraz twoje imię, boś właśnie lecznicze źródło odkrył.

- Ja? Lecznicze źródło? - nie pojmował Krzych.

- Noga cię nie boli?

- Skądże! Jakby nowiutka była!

- Chodźmy czym prędzej do burmistrza i pana Krockowa - rzucił duchowny. - W wielu krajach ludzie potrafią zapłacić duże sumy za kąpiele w leczniczym błocie i cuchnącej siarką wodzie. Czemu więc i Półczyn nie miałby podążać tą drogą?

- Niesamowite... - szepnął Krzych. - Muszę chyba pić więcej, skoro po gorzałce takie cuda odkrywam!

# Powrót Wyszaka

Szczecin

Przez zakratowane okienko spoglądał Wyszak na świat. Zapadła już noc i gwiazdy rozjarzyły się na niebie. Niby tak samo spoglądały w dół na ziemię, jak w rodzinnym Szczecinie, a jednak były jakies inne, dziwne, straszne...

Nie powiodła się chęś, na którą wybrał się z towarzyszami. Wpadli w zasadzkę u brzegów Danii, gdy statkami po brzegi wyładowanymi łupami obrali kurs na Szczecin. Duńscy powywieszali Wyszakowego kramatów wzdłuż morskiego brzegu, a jego samego skrępowanego wtrącili do lochu, skazując na głodową śmierć.

Taki już los chęśnika. Gdy łaskawie spoglądają nań bogowie, przywozi z wypraw wielkie łupy i żyje niby król - gdy zaś spojrzanie odwróca, pozostaje przy nim jeno śmierć, aby czym prędzej pochwyć go w swe szpony.

Rozpacza zapewne pozostawiona w dalekim domu Miłorada, a i dzieciśka muszą pytać, gdzie podziewa się tатko. Ach, gdybyż tylko raz jeszcze mógł je przytulić do serca, niczego już by nie żałował, a śmierci mógłby splunąć w pysk.

Oslabiony głodem, że złamanym sercem, zapadł wreszcie w niepokojny sen. A we śnie tym ujrzał dobrego Ottona, bamberskiego biskupa, który przed kilkoma zimami gościł w szczecińskim grodzie, głosząc słowo Boże. Wielu wtedy poszło za nim i przyjęło nową wiarę. Sam potężny Domaśław tak uczynił. I on, Wyszak, wójt szczeciński, z tyłu nie został, pozwalając się ochrzcić jako jeden z pierwszych. Całe dni spędzał później na rozmowach ze świątobliwym mężem, solennie przyrzekając porzucić chęśbę i wieść uczciwsze życie. Cóż z tego, skoro jak wilka do lasu ciągnie, tak i jego wzywało ukochane morze.

A teraz we śnie spoglądał nań Otto smutnym wzrokiem, łagodnym głosem łając za niespełnioną obietnicę. I chociaż Wyszak tłumaczył się ze wszystkich sił, sam siebie do słuszności swych poczynań nie był w stanie przekonać. Uśmiechnął się wreszcie biskup i przyobiecał mu wolność w zamian za porzucenie pirackiego fachu.

Wyszak otworzył oczy. Oddech jego był szybki i płytki, na czoło wystąpił mu pot. Usiłował ruszyć ręką i ze zdziwieniem spostrzegł, że poluzowały się więzy, które wcześniej wrzynały mu się w ciało niemal do samego mięsa. Poczutł w sobie przypływ nadludzkiej siły, uwolnił się więc ze sznurów i doskoczył do drzwi. Ze zdziwieniem spostrzegł, że stały uchylone. Czy ktoś ze strażników nie dopełnił swej powinności, czy może sam biskup Otto w cudowny sposób otworzył je dla niego, nie miało teraz znaczenia. Po cichu wymknął się z celi, znalazł

drogę do wyjścia i biegiem rzucił się przed siebie. Pędził tak, byle dalej, aż do uszu jego dotarł znajomy odgłos: to szumiąco morze, wzywając go ku sobie. Grzęznąąc w piachu, przedarł się przez wydmy i znalazł się na plaży.

Cóż teraz miał czynić? Zbyt daleko znajdował się od pomorskiej ziemi, aby odległość tę przebyć wpław. Jego statki zostały zniszczone w czasie bitwy z Duńczykami. Gdy tak stał i rozmyślał, zobaczył nagłe leżącą na piachu małą łódeczkę.

– Nie dołapnę nią do Szczecina – westchnął Wyszak. – Cóż z tego, przynajmniej wolny na morzu zginę, zamiast szczerząc w duńskiej niewoli.

Niewiele myśląc, zepchnął łódź na wodę, wskoczył do środka i pozwolił, aby prądy uniosły tę kruchą łupinę na pełne morze.

\*\*\*

Trzy dni spędził Wyszak w łodzi, żywiąc się złapanymi rybami. Kilkrotnie o mały włos nie utonął w głębinach, gdy wysoka fala silnie chybotwała łódką na boki, niemalże ją wywracając. Zaś czwartego dnia nad ramię dojrzał na horyzoncie łódź. Nim słońce stanęło najwyższe, morskie fale wyrzuciły go na wolińską plażę, tuż obok Dziwnowa. Chąśnik nie posiadał się z radości, oto bowiem dzięki cudownym zrządem losu dokonał sztuki niemal niemożliwej i powrócił z Danią do ojczystego kraju!

Wielka radość zapanowała w Szczecinie, gdy zwiędziano się o ocaleniu wójta, zaś łódeczkę, w której wielmoża wyostał się z duńskiej niewoli, wielce uroczystie zawieszono nad jedną z miejskich bram. Od tej pory stanowić miała przestrożę dla niewierzących, jak wielka jest moc boska i jak z największych opresji może Pan wydobyc tych, którzy kroczą Jego drogą. Sam Wyszak zaś dotrzymał obietnicy danej bi-skupowi Ottonowi i nigdy już nie parał się chęsbą.

## Przewoźnik i skrzat

Mazów

Wiele lat temu, w Mazowie, małej wiosce przytulonej do Wieprza, żył mężczyzna, który trudnił się przewożeniem innych przez rzekę. Nie było wówczas w okolicy ani mostu, ani brodu, więc wielu podróż-

nych korzystało z jego pomocy. Opiat wygórowanych nie pobierał – ot, tyle, aby starczyło mu na życie i może na kwarteczkę gorzałki w przydrożnej karczmie. Pracował zaś ciężko, od rana do nocy.

Któregoś wieczoru przeprowił na drugi brzeg chłopca z Chudaczewka, wracającego do domu od krewnych w Mazowie, i już miał wracać, by udać się na spoczynek, gdy poczuł, jak czyjeś drobne ręce ciągną go za spodnie. Odwrócił się i dojrzał małego chłopca, bacznie się w niego wpatrującego. W wielkim zdziwieniu nachylił się ku niemu, a wtedy skrzat przemówił:

– Bądź zdrowiony, przewoźniku. Przybyłem, aby prosić o przewóz. Wraz z moimi braćmi i siostrami uciekamy od wiarołomnych ludzi, aby prawym i godnym zaufania szczęście znaleźć.

– Jeśli o przewóz chodzi, kłopotu nie będzie, i tak miałem płynąć na przeciwległy brzeg – odparł mężczyzna niepewnie. – Czy masz jednak czym zapłacić?

– Każdy z nas dwa grosze rzuci – powiedział skrzat.

– Mało trochę – skrzywił się przewoźnik.

– Pokrzywdzony z całą pewnością nie będziesz! – zapewnił chłopiec. – Jeden warunek tylko stawiam: gdy monety zabrzczą w twojej misce, nie spoglądaj w tę stronę. Jeśli bowiem ujrzysz nas wszystkich, szczęścia ci to nie przyniesie.

– Niech będzie – wzruszył ramionami przewoźnik. – I tak dwa grosze lepsze niż nic. Wsiadajcie!

Karzątek odwrócił się i głośno zagwizdał na palcach. Na ten dźwięk w pobliskich zaroślach rozległ się gwał, a po chwili styszc dał się tupot mnóstwa małych nóżek. Gdy zaś tylko w misce rozległ się brzęk pierwszych monet, przewoźnik odwrócił głowę w kierunku rzeki oraz przeciwległego brzegu, ledwie widocznego wśród zapadającego mroku. Tymczasem monet przybywało tak szybko i tak wiele, że prom zanurzył się bardzo głęboko w wodzie. Odbili wreszcie od brzegu, gdy zaś przepłynęli Wieprzę, skrzat podszedł do mężczyzny i powiedział:

– Dziękujemy ci pięknie, przewoźniku, za pomoc. Chętnie byśmy z tobą zostali i w pracy twojej pomogli, jednak daleka jeszcze droga przed nami. Myślę, że zapłata, którą od nas dostałeś, wynagrodzi twój trud. Zanim jednak weźmiesz pieniądze w ręce, poczekaj, aż wszyscy wyjdziemy z łąki. Teraz bywaj zdrów!

Powiedziawszy to, zeskokczył z pokładu i pognął w kierunku widniejącej w oddali czarnej ściany lasu. Gdy zaś ostatnie rozmowy karzątków ucichły, przewoźnik rozjeżdżał się po swej łodzi, wypełnionej po brzegi monetami. Tyle zaś ich było, że za zarobione pieniądze postawił okazały dom, a i tak zostało mu jeszcze mnóstwo grosza.



Sprawiedliwy Pan Bóg nie zezwolił jednak, aby pamięć o zbrodni uległa zatarciu. Oto już w pierwszej noc po pogrzebie z grobów braci wysunęły się straszne ręce, pokryte krwawymi plamami, o rozcapierzonych palcach wygiętych niby szpony. I chociaż wielokrotnie je zakopywano, każdego następnego ranka znów sterczały ponad mogiłami.

Proboszcz postanowił wreszcie zaradzić temu zjawisku. Na jego polecenie kościelny przyniósł siekiere, którą odrąbał przerażające trupie dłonie. Złożone w zakrytciu, przez wiele jeszcze lat przypominały o dwóch ojcobójcach, na przestroję wszystkim, którzy chcieliby się dopuścić podobnej zbrodni.

## Rozbójnik Rummel

Miastko

Stońce chyliło się ku zachodowi, oświetlając trzech jeźdźców na koniach. Dwójka z nich była raczej drobna, odziana w bogate, szlachetkie szaty. Ponurymi spojrzeniami obrzucała trzeciego, rosnącego jak dąb ubranego jedynie w koszulę, spodnie i wysokie buty. Wyglądał niemal jak jeniec towarzyszący mu szlachciców, nie był nim jednak.

Jego imię brzmiało Rummel. Przez wiele lat wraz ze swą zbójczą bandą pustoszył ziemie położone na wschód od Polanowa. Jego napady siały strach wśród przemierzających okoliczne szlaki kupców oraz mieszkanców wiosek rozrzuconych wśród lasów. Był bowiem okrutny, a jednocześnie nieuchwytny niczym wiatr. Pojawiał się zniemacka, wraz z kompaniami wypadając z prastarej puszczy, rabował, podpałał i mordował, a następnie znikał pośród drzew, nie pozostawiając śladów, którzy o jego zbrodniach mogliby cokolwiek powiedzieć.

Mówiło się o nim niestworzone rzeczy: że ma dziesięć stóp wzrostu, jedną ręką potrafi wyrwać z ziemi drzewo i powalić niedźwiedzia, a nawet, że jest w znowie z samym Lucyferem i póki diabeł rozacza nad nim swą opiekę, żaden człowiek ni zwierzę nie może go zranić. Krążyły wśród ludu opowieści, że jest jedynym ocalałym potomkiem szlacheckiego rodu, który zdradziecko wymordował mieli Massowowie, aby przejąć rządy nad jego ziemią. Tu akurat coś mogło być na rzeczy, gdyż Rummel działał wyłącznie na terenach władanych przez Massowów, jakby mszcząc się na nich za jakieś krzywdy. Ci zresztą nieraz próbowali go schwytać, zastawiając przeróżne pułapki, zbójca jednak zawsze zdołał wysliznąć im się z rąk. Nawet wtedy, gdy go uję-

to i powieziono do rodowej siedziby Massowów, aby tam go osądzić i powiesić, jakimś cudem wymknął się z zakratowanego wozu i cało zbiegł do swej kryjówki.

Podczas gdy Rummel poczynał sobie coraz śmielej, Massowowie garściami rwali włosy ze swych głów. Ich interesy cierpiały coraz bardziej, gdyż kupcy zaczęli omijać władane przez nich ziemie, a i poddani chłopci częściej decydowali się na ucieczkę. Uznali wreszcie swoją porażkę i kazali rozgłosić, że darują Rummelowi na własność tyle ziemi, ile od wschodu do zachodu stońca zdoła konno objechać, jeżeli tylko porzuci życie rozbójnika.

Przystał Rummel na warunek Massowów i w wyznaczonym dniu miejscu stawił się, aby odebrać swoją nagrodę. Teraz zaś jego całodzienna podróż dobiegała końca. Wiedział już, że zdołał wyrwać dla siebie ładny szmat ziemi.

Ostatnie słoneczne promienie muskały korony drzew. Gdy zgasty, Rummel zeskokczył z konia i spojrzał na towarzyszących mu Massowów. Następnie zaś wyszarpnął z pochwy miecz i z całej siły wbił go w ziemię. – Oto biorę w posiadanie to, co mi przyrzekliście – zwrócił się do szlachciców. – Zabierajcie się z mojej ziemi.

Jeden z Massowów prychnął z oburzeniem i już unosił się w strzemiionach, gdy drugi położył mu rękę na ramieniu i pokręcił głową. Po chwili obaj zawrócili i odjechali.

Od tych wydarzeń minęło wiele lat. Na gruntach, które otrzymał Rummel, powstała osada, która później przekształciła się w miasto, od jego imienia nazwane „Grodem Rummła” – dzisiejsze Miastko.

## Rozeta z korbackiego kościoła

Końbacz

Mistrz Joachim westchnął ciężko i otarł łzę z kącika oka. Ile to już dni minęło, odkąd zamknął go w korbackiej Wieży Więziennej, w tym ciemnym i zatechłym lochu, fałszywie oskarżony o niegodne czyny, jego, który w życiu całym nikogo nie skrzywdził, posądzono o zamordowanie jednego z mnichów!

– Panie, Ty wiesz, żem sprawiedliwy – modlił się cicho. – Jeśli jednak taka Twoja wola, niech trzymają mnie tu aż do śmierci. Jednego tylko mi brakuje: mego dhuta i młotka. Ach, gdybym tylko mógł tworzyć, nie byłaby aż tak straszna ta niezasłużona kara...

W tej samej chwili w lochu rozbiły jasne światło. Joachim padł na ziemię, nie śmiejąc podnieść oczu; wiedział bowiem, że sam Bóg ukazał mu się w tej postaci.

– Nie frasuj się, Joachimie – usłyszał łagodny głos. – Wejrzałem w twe sumienie i wiem, żeś czynu, o który cię oskarżają, nie popełnił. Masz tu młotek i dłuto. Wykorzystaj je mądrze, a zobaczysz, co się stanie.

Głos ucichł, a światło znikło. Gdy kamieniarz przesunął dłonią po przegniełej ścianie wyscietającej posadzkę lochu, wyczuł tak dobrze znałe kształty. Poczut, jak jakaś wielka radość wlewa mu się w serce, dając nowe siły i nadzieję. Zerwał się więc z ziemi, podszedł do murowanej ściany i w zupełnej ciemności począł kuć. Spod jego pewnych dłoni wyłaniały się kształty i formy, a on pracował, uśmiechając się do siebie.

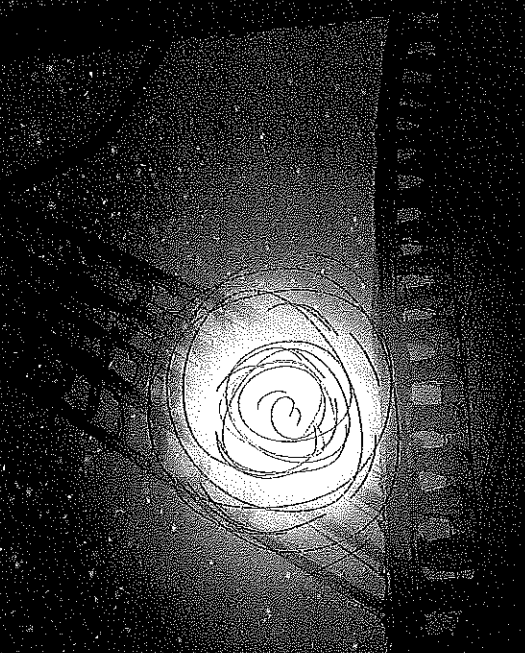
Wiele czasu trwała jego praca. Czy to dni, czy tygodnie całe zeszyły, i czyjeś kroki rozległy się na schodach.

– Zbieraj się, złoczyńco, pod sąd idziesz! – warknął pachotek, przyświecając sobie pochodnią. Nagle zaniemówił i stanął w miejscu. Światło padło bowiem na wykutą w ścianie przepiękną rozetę, niby z najświetniejszej świątyni wziętą. Mężczyzna odwrócił się bez słowa i wybiegł z lochu, aby po chwili sprowadzić z sobą opata kołbackiego klasztoru i sędziów. Wszyscy oni oglądali wspaniałe dzieło, nie mogąc wyjść z podziwu. Wybrali się następnie na naradę, gdzie jednogłośnie uznali to wydarzenie za cud. Ułaskawili więc mistrza Joachima i uwolnili go z więzienia, zaś wykonaną przez niego rozetę nakazali ostrożnie wyciąć ze ściany i na wieczną pamiątkę umieścić na ścianie kościoła w Kołbaczu, gdzie pozostaje ona po dziś dzień.

## Rozmowa w noc wigilijną

Trzebiatkowa

Zdarzyć się miało przed laty, że w Trzebiatkowej mieszkał chłop trudniący się hodowlą bydła. Od małości, skoro tylko usłyszał od babki o magii nocy wigilijnej, kiedy to zwierzęta przemawiają ludzkim głosem, marzył, aby ze swymi bydłami zamienić choćby kilka słów. Zawsze w Wigilię wykradał się do obory, ciekaw, co też powiedzą mu krasule i mućki mogłyby mu powiedzieć. I chociaż zazwyczaj do- stawał wówczas w skórę, albowiem podstępnie gadających zwie-



- Chłopaki! Żagłowiec na mieliźnie! Zabierać, co się da!  
Nie musiał długo czekać. Siedem głosów toczących wokół przekleństwa natychmiast zamilkło.

- Żagłowiec na mieliźnie! - powtórzył Wilhelm. W odpowiedzi rozległ się tupot siedmiu par nóg i po chwili łebianie wypadli na zewnątrz, rozglądając się wokół. Święty Piotr szybko złapał Wilhelma za ramię i wciągnął go za bramę, a następnie jak najszybciej zatrasnął niebiańskie wrota.

Dopiero po dłuższym czasie siedmiu hultajów zorientowało się, że zostali wyprowadzeni w pole. Stanęli więc pod bramą i podnieśli wielki lament, uzalając się na swój ciężki los i wyrzekając na niesprawiedliwość, która ich spotkała. Święty Piotr pozostał jednak głuchy na ich błagania, a i aniołowie, którzy przecie tak jeszcze niedawno wstawiali się u niego za ową siódmką, nie kwapili się do pomocy. Hultaje zabrali się więc stamtąd jak niepyszni i odeszli. Kto wie, być może wciąż jeszcze jako błędne ogniki błakają się po ziemi...

## Sieje w jeziorze Miedwie

Koźbac

Trzeci już miesiąc trwała długa pomorska jesień. Ciężkie, szare chmury przetaczały się nad szarym światem, skąpanym w szarym deszczu. Nawet przebijające się z rzadka promienie słońca były jakby zszarzałe, nie dając za grosz ciepła.

Trzeci też miesiąc trwały męczarnie ojca Brunona, opata w koźbaskim klasztorze. Gdzież tej ziemi smutnej do jego rodzinnych Włoch, pięknych, słonecznych, radosnych. A tutejsza kuchnia... Lepiej o niej nie wspominać. Ciężkie, tłuste, niesmaczne potrawy, zapijane jakimś podłym trunkiem, nazywanym przez miejscowych piwem. Ach, jakże chętnie posmakowałby znowu wspaniałego kalabryjskiego wina, oliwek, przepysznych ryb... Czegóż by nie dał za półmisek smażonych, cudownie rumianych siei z alpejskich jezior... Duszę by za to oddał!

Skoro tylko wypowiedział takie życzenie, błysnęło, w powietrzu rozszedł się zapach siarki i tuż przed opatem stanął diabeł, dzierzgając w dłoni półmisek smakowicie wyglądającej ryby.

- Spełnię wolę twoją, mości opacie - zwrócił się do niego po włosku, podsuwając mu półmisek pod nos. - Powiem więcej, nie półmisek, a wór wielki siei ci dostarczę, abys na jej brak nigdy nie narzekał.

Czego chce? Niewiele - zaśmiał się, błyskając chytrze oczami. - Jedno podpisik niewielki pod tym oto dokumentem - mówiąc to, wydobyl z zanadru cyrograf i położył go na pulpicie.

Bruno nie zastanawiał się długo. W palec się zaciąwszy, umoczył we własnej krwi skwapliwie podsunięte mu przez czarta gęsie pióro i złożył podpis na pergaminie.

- Wróć, nim północ wybije - rzucił diabeł, chowając cyrograf za pachę, po czym znikł. Dopiero wtedy opat pojął, cóż takiego uczynił. Opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Przez dłuższą chwilę tak pozostał, po czym zaczął długo i żarliwie modlić się do Boga. Milczał jednak Pan, wstrząśnięty postępkami swego sługi.

\*\*\*

Wieczór dawno już zmienił się w noc, Bruno nie mógł jednak zasnąć. Ekając cicho z żałości nad samym sobą, wędrował po klasztornych dziedzińcach. Natknął się wnet na klasztornego kuchcika, który ebylkiem powracał ze schadzki. Zestrachany był chłopak, bo przecież wpadł na skynącego z surowości opata - pewnie zaraz go zbeszta, pokutę zada lub może nawet każe oćwiczyć. Po chwili zauważył jednak, że mnich był nieswój, toteż zaczął go wypytywać o przyczynę tego stanu. Po dłuższych naleganiach opat zwierzył mu się ze swego grzechu. W tej samej chwili zegar na kościelnej wieży zaczął wybijać dwunastą, a od strony jeziora Miedwie rozległ się głośny szum diabelskich skrzydeł. Bruno jęknął głośno i upadł na ziemię, mamrocąc modlitwy. Na szczęście sprytny kuchcik nie stracił głowy: czym prędzej wpadł do znajdującego się nieopodal kurnika i pobudził śpiące w środku kogusy. Ledwie te zaczęły pisać, gdy nad Miedwiem rozległ się głośny ryk wściekłości, a następnie wielki plusk: to wypuszczony przez Złego wórka wypelniony siejami wpadł do jeziora.

W ten oto sposób opat Bruno ocalał duszę, sieja zaś trafiła do jeziora Miedwie, gdzie rozmożyla się i pozostała do dziś.

## Skamieniały skąpiec

Karsk

Wieczór już zapadał, gdy drogą z Nowogardu powracał do rodzinnego Karska Jan, bogaty kowal. Podśpiewywał sobie radośnie pod nosem,

drzew spadły liście, i popędził za nimi, ścigając je aż do potoczonych u stóp wzgórza łąk. Dopiero tam znikł, rozplywając się w powietrzu.

Dygotając na całym cieple, dziewczęta powróciły do Kamionek, gdzie o swej przygodzie opowiedziały mądrym Jerzemu, najstarszemu mieszkalcowi wsi. Ten zaś przeraził się niesłychanie, słysząc ich słowa. Wyjaśnił im, że przed wieloma laty na Chełmie wznosił się potężny zamek, w którym zamieszkiwała okrutna księżniczka. Służył jej stary i przebiegły zbójca, napadający i porywający wędrujących po okolicy kupców. Wszelki ich majątek wędrował do zamkowego skarbcza, księżniczka zaś znajdowała wyjątkową radość w pastwieniu się nad nieszczęśnikami, póki nie wyzionęli ducha. Pokarał wreszcie Pan Bóg kołobietę i jej towarzysza, gdyż jednego dnia z całym zamkiem zapadli się pod ziemię. Nawet jednak po śmierci w południe dnia świętego Jan zjawiają się na Chełmie. Ona chwytła tych, których znajduje na drodze, i wciąga w głąb wzgórza na pewną śmierć, on zaś rachuje splamione ludzką krwią pieniądze, doliczyć się ich nie mogą.

Dziewczyny słuchały opowieści Jerzego w coraz większym strachu. Od tej pory nigdy już nie odważyły się choćby zbliżyć do Chełmskiego wzgórza.

## Sydonia von Borck

Marianowo, Strzmielce, Szczecin

Stara Sydonia von Borck siedziała z przykniętymi oczami, oparłszy głowę o zimny, wilgotny mur. Wspominała młode, szczęśliwe lata w Strzmielcu. Te wszystkie wianki, które uplotła z polnych kwiatów, te wizyty w pobliskich miastach u boku ojca, Ottona, który ją kochał nad życie... Ojcowskie ramiona, tak silne i ciepłe. Nigdy nie czuła się bezpieczniejsza jak wtedy, gdy się w nie zanurzała. A potem nastął czas spędzony na wologoskim dworze. Tam piękny Ernest Ludwik, następca tronu, szeptał jej czule słowa, obiecując dogonną miłość i małżeństwo.

Nie ma już ich, umarli, w pył i proch się obrócili, tak jak wszystko, co dobre było w jej życiu.

Rozdzieliła ich książęca rodzina, uznając Sydonię za niegodną Ernestowej ręki. Opuściła więc niegościnną Wologoszcz i powróciła do krewnych. A tam – kolejne niesnaski i intrygi, bo oto po śmierci ojca Ulryk, brat rodzony, przymusił Sydonię do zrzeczenia się spadku. A gdy w kolejnym roku sprowadził do Strzmiela małżonkę,

Otylię z Dewitzów, dziewczyna na zawsze wyjechała z rodzinnego gniazda, nie mogąc znaleźć porozumienia z bratową.

I tak przypadł Sydonii los tułaczki, a wraz z rosnącymi w jej sercu gniewem i poczuciem niesprawiedliwości przyszia kłótniwość i zgrzyliwość. Powoli odsunęli się od niej wszyscy, jej krewni zaś oddali ją do Marianowa, do dawnego klasztoru przemianowanego na zakład dla szlachetnie urodzonych panien.

A tymczasem mijały lata i coraz pręcej umierali książęta na szczebińskim i wologoskim dworze, nie pozostawiając po sobie dziedziców. Kureczył się ród Gryfitów, jeszcze kilka dziesięcioleci wcześniej tak liczny. A gdy śmierć zabrała dobrego i mądrego Filipa II, przypomniał sobie ktoś o Sydonii i jej nieopatrnie wypowiedzianych do niewiernego Ernesta Ludwika słowach, iż lat pięćdziesiąt nie upłynie, a ród książęcy zniknie z powierzonej ziemi. Wyciągnięto tedy nieszcześnie z manianowskiego klasztoru i przywieziono do stolicy, aby oddać ją pod sąd. I kiedy, złamana torturami, przyznała się do rzucenia klątwy na ród Gryfitów, skazano ją na jedyną karę, którą można było wymierzyć czarownicy.

Czyjes kroki rozległy się na schodach, klucz zagrzynał w zamku i do celi wszedł strażnik ze słowami:

– Już czas, pani. – Po czym poprowadził ją po wąskich, stromych schodach ku wyjściu z więzienia.

Choć na dworze panowała dżdżysta szarówka, Sydonia zmrzuryła oczu, przechodząc przez więzienną bramę. Tyle czasu nie widziała błasku dnia, że nawet słabe światło słoneczne, z trudem przebijające się przez chmury, niemal ją oślepiło. Wspierając się na ramieniu strażnika, nogi bowiem odmawiały jej posłuszeństwa, podreptała do czekającego na nią wozu i z niemałym trudem wspięła się na górę.

– Słukaj pociechy w Panu naszym, córko – powiedział z namaszczaniem siedzący na wozie pastor, czyniąc nad nią znak krzyża. – Zażuj za grzechy, już dziś bowiem spotkasz się z nim twarzą w twarz.

– Nie jest to karoca, do jakich, pani, przywykłaś – dodał strażnik, siadając tuż obok. – Ręczę jednak, że jest równie solidna jak wozy Borków.

Woznica w międzyczasie zaciął konie biczem i wóz ruszył. Tuż obok jechało kilku konnych, których zadaniem było eskortować Sydonię na miejsce karni. Ponury orszak poruszał się powoli, tłum wokół gęstniał zaś z każdą minutą. W kierunku wozu postrunęły zgnite jarzyny i jajka, ktoś nawet rzucił nadpsutym już kocim truchtem. Staruszka zdawała się nie zwracać na to uwagi, mamrotała tłum wzrokiem tak pełnym złości tylko podniosła głowę i zmierzyła tłum wzdkiem tak pełnym pogardy, że stojący najbliżej aż się cofnęli.

Daleko w tyle pozostał Oderburg, zamek, w którym więziono starą szlachiankę. Gdzieś w oddali, po lewej ręce majaczyły mury Szczecina. Unosząca się nad ziemią lekka mgiełka rozcierała ich kontury,

wyraźnie jednak dało się widzieć strzeliste wieże kościołów. W miarę jak się do niego zbliżali, miasto rosło i potężniało w oczach. Wyraźnie widać już było przedbramie Bramy Młyńskiej, ku któremu zmierzali. Wreszcie, tuż przed murami miejskimi, woźnica cmoknął na konie i szarpnął za cugle. Byli na miejscu.

- Odwagi, córko - szepnęła pastor. Sydonia potrząsnęła głową.

- Borkowie nie okazują strachu - odpowiedziała zgryźliwie, po czym z trudem wstała. Chociaż czas przygarbił ją do ziemi, nie odebrał jej dostojęstwa, tej dumy tak typowej dla Borków.

Przez tłum przeszedł głuchy pomruk. Co bardziej zapalcywi zblżyli się do wozu, wygłaszając pięściami, strażnicy jednak byli na miejscu. Odepchnęli tych, którzy podeszli zbyt blisko, w razie potrzeby bijąc ich pałkami. Sydonia tymczasem zeszła z wozu i ruszyła w kierunku szafotu. Wydawało się, że tę ostatnią drogę chce przebyć jak najszybciej, jednak - wbrew temu, co mówiła wcześniej - lek chwycił ją za gardło swoją dławiającą ręką, odbierając dech i krzyżując kroki. Kobieta zachwiała się i zwała na ziemię. Natychmiast jednak pojawiło się przy niej dwóch strażników, podnosząc ją i prowadząc na podwyższenie, na którym czekał już kat. Tłum zaś wył i ryczał, a złorzeczenia ucichły dopiero, gdy na szafocie pojawił się herold.

- Sydonio von Borck! - zaczął uroczyste, unosząc podbródek we władczym geście. - Oskarżona zostałeś, że poprzez czary i magiczne uroki ściągnęłaś zagładę na panów naszych, wielmożnych i najmożliwszych książąt pomorskich! Posądzono cię, że za twoją sprawą okrutna śmierć zabrała w kwiecie wieku czcigodnego Filipa, drugiego tego imienia na pomorskim tronie, jak i innych naszych jasnie oświeconych panów! Tak też zostałeś znaleziona winna i, za swe bezecnstwa i zbrodnie, wyrokiem sądu skazano cię na śmierć! Aby więc wyrokowi uczynić zadość, głowa twa będzie ci odjęta, a ciało rzucone na pastwę oczyszczającego ognia, tak aby twa sztuka czarnoksiężka zginęła wraz z tobą! Wiedz jednak, że nasz pan, najjaśniejszy i najmilszy Franciszek, w dobroci swej daje ci szansę ocalenia życia! Jeśli tu i teraz odwołasz klątwę, którą rzuciłaś na ród Gryfitów, dożyjesz swoich dni w lochach zamku Oderburg!

Rzekłszy to, herold odsunął się i spojrzął na Sydonię. Ta zaś zaśmiała się w duchu. Jakż strach wyzierał z tych butnych słów...

Przez chwilę chciała postąpić, jak ustami herolda żądał książę. Ostentownie porzuciła jednak tę myśl. Czarownicę chcieli zgładzić, niech będzie lżejsza i szybsza niż męki w księżących lochach.

Uśmiechnęła się jadowicie. To będzie jej ostatni figiel i złośliwość. Niechże się męczą i wiją w niepokoju, niech z każdym dnem wypatrują z obawą śmierci.

- Klarwy nie cofnę - powiedziała słabym, drżącym głosem, patrząc heroldowi prosto w oczy. - Niechże umierają książęta, niechże dzieje się to nawet szybciej niż obecnie. A z miłościwym panem Franciszkiem spotkam się już niedługo. Niech się jednak nie martwi, wystaramu się o dobry kocioł w piekle.

Herold cały poczerwieniał, słysząc te słowa. Dopiero po dłuższej chwili otrząsnął się z ostupienia i głową dał znak pomocnikom kata. Ci zblżyli się do szlachcianki, siwe kosmyki jej włosów ukryli pod ciastym, białym czepekciem, odstawiając w ten sposób kark, a następnie ujęli ją za ręce i zmusili do klęknienia i ułożenia głowy na piuu.

- Wybacz mi, pani, to, co uczynię - rzekł kat, podchodząc do niej.

- A cóż ja miałabym ci wybaczyć, dobry człowieku? - spytała Sydonia - Taki twój fach, wykonaj więc robotę jak najlepiej potrafisz.

- Czy potrzebujesz, pani, czasu na modlitwę? Czy mam czekać na twój jakikolwiek znak?

- Uderzaj, gdy tylko będziesz gotów - odparła staruszka i zamknęła oczy. Raz jeszcze ujrzała pod powiekami ojca, jak uśmiechnięty zbliżył się ku niej, wyciągając dłonie. Znów była małą dziewczynką w kwiatnym wianku, biegnącą wśród łąk pod Strzmielcem...

Wielki, ciężki topór spadł na jej szyję i już było po wszystkim.

- Czysta robota - mruknął herold, spoglądając, jak kat prostuje się i cofa ostrze. Po chwili kilku strażników chwyciło bezgłowe ciało i czym prędzej przywiązało je do ułożonego nieopodal stosu. Kat podłożył pod drewno pochodnię i płomienie ognia zaczęły pełznąć ku górze. Przez dłuższy czas tańczyły wokół ciała nieszczęsnej Sydonii, jakby nie chciały go przyjąć, wreszcie jednak pomatu objęły je w całości.

Tak oto zginęła Sydonia z możnego i wielkiego rodu Borków. Jej śmierć nie zmaszała jednak klątwy. Bo chociaż trwało to dłużej niż zaopowiedziane przez nią pół wieku, książęcy ród wygaśł wreszcie: ostatni Gryfta, Bogusław XIV, na wieki zamknął oczy w roku Pańskim 1637, zaledwie siedemnaście lat po śmierci szlachcianki.

Być może, jeśli w dziewiętnastym dniu sierpnia, w rocznicę owej klazni, znajdziecie się u wylotu ulicy Staromłyńskiej, przy Pałacu Sejmu Stanów Pomorskich, uda wam się spotkać wielkiego, głośno kraczącego kruka. A może w noc księżycową zdołacie również dostrzec na kruszgankach szczecińskiego zamku zwiewną, białą postać.

Wspomnijcie wtedy w skrytości ducha biedną Sydonię von Borck, gdyż właśnie jej duszę napotkaliście na swej drodze.

Wóz powoli ruszył. Żołnierze rozmawiali beztrząsco. Michał-Szczurki chlupał cicho.

– Uspokój się, gołowąsie! – warknął Wawrzyniec. – Nie jęcz jak baba jakaś! Żyjesz jak zbój, to i jak zbój umieraj!

Michał ucichł, jednak jego drobnym ciałem nadal co pewien czas wstrząsały spazmy z trudem powstrzymywanego płaczu.

Ponury orszak dotarł wreszcie na wzgórze. Na szczycie czekał na nich sołtys Okonka i wielu mieszkańców wsi, którzy na czas egzekucji porzucili codzienne zajęcia. Teraz wylili i buczeli, widząc zbliżający się wóz ze związanymi złoczyńcami.

– Wszyscy tacy odważni – z sarkazmem w głosie stwierdził dowódca oddziału, odwracając głowę w kierunku jadącego tuż obok jednego z fałszywych kupców. – Gdy hasali na wolności, żaden z nich nie ośmieliłby się im choćby w oczy spojrzeć.

Dojechali wreszcie na miejsce, zatrzymali się u stóp potężnego drzewa. Kilku pachołków podbiegło do wozu i zrzuciło zbójców na ziemię. Poluzowano im więzy, nie szczędząc kopniaków, postawiono na nogi i poprowadzono w kierunku drzewa, z którego konarów zwisały już cztery pętle. Teclaw spoglądał na zebranych, tocząc chmurnym wzrokiem spod krzaczastych brwi. Wściekły był przede wszystkim na to, że nie będzie mógł przed śmiercią powiedzieć choćby jednego słowa, wylać całej tej złości, jaka zebrała w jego ciemnej duszy. Obok niego dreptał Bernard, dziwnie zobojętniały, zupełnie jakby sprawa go nie dotyczyła, a wieszac mieli kogo innego. Kilka kroków za nim postępował Michał-Szczurek. Ten rozkleił się zupełnie, a trzy wielkie jak grochy spływały po jego policzkach. Wawrzyniec mamrotał coś pod nosem, a stojący najbliżej przysiąc by mogli, że poleciał się Bogu w opiekę.

– Zbojce! – zakrzyknął sołtys. – Mnóstwo zła wyrządziście, teraz więc za to wszystko gardłem zapłacicie! Zawisniecie tu, na tym wzgórzu tuż obok Okonka, aby wasz widok, dyndających na wietrze, innych bezczelników od podobnych czynów odstraszał!

– Gadaj zdrów! – krzyknął Bernard, odzyskując wigor. W odpowiedzi dowódca oddziału podszedł do niego i pięścią dzielił go w twarz. – Koniec szczekania! – warknął. – Róbcie, co trzeba – skinał na swoich towarzyszy. Ci zaś podeszli do więźniów, szybko nałożyli im na szyję pętle i na sznurach podciągnęli wysoko, aż pod samą koronę drzewa. Teclaw i jego kompani długo jeszcze rzucali się pośród gałęzi, wreszcie jednak na zawsze znieruchomieli...

Tak oto Okonek został wyzwolony od zbójców. Imię herszta bandy przetrwało jednak w nazwie wzgórza, na którym go powieszono. Miejscowi bowiem po dziś dzień zwą je Teclawską Górą.

# Tryglaw

Tychowo

Wyszomir, najwyższy źerca Tryglawa, zbliżył się do ogromnego głaz pogrądzili dłońmi jego nierówną, szarą powierzchnię.

– Oj, kamieniu, kamieniu! – przemówił. – Wielki Tryglaw rzucił cię tu swą mocarną dłońią, aby dać wyraz swej potęgi i nam, maluczkiemu, przypominać o sobie.

Wzniósł ręce ku niebu.

– Wielka krzywda nam się dzieje, o, potężny Tryglawie! – zawołał. – Oto bliźniercy najechali na twój kraj, niszczą twe posągi i kąciny, mordują kapłanów i wiernych, niosąc ze sobą wiarę nową, nieznana gorsząca. O tam wśród wielu niebezpieczeństw przybył tutaj, pod ten smęty głaz, aby postać twą, panie, ochronić przed świętokradztwem i zniknięciem, co to krzyżem znaczą swój ślad. Porabali twój posąg, Tryglawie, ze szczecińskiej świątyni, głowę posłali do Rzymu. W wodach bagnistych pograżył się twój posąg z kąciny w Wolinie. Lecz ja, Wyszomir, zdołałem uratować jeden z twoich wizerunków, który teraz tutaj, pod tym głazem spocznie, aby żaden wróg go nie odnalazł.

Na znak dany przez kapłana towarzyszący mu ludzie z największą ostrożnością i czcią zdjęli z wozu wielki posąg trójgłowego boga wykonany z litego złota, a następnie ukryli go w uprzednio wykopanej w ziemi jamie. W miarę jak ów cenny skarb nikał pod ziemią, zrywał się coraz silniejszy wiatr, a ciężkie, burzowe chmury zasnuły słoneczną przednią niebo. Wśród wycia wichury Wyszomir ustyszał głos mroczny niby ze spłuzu:

– Dobrześ się sprawił, źerco!

Słyszając to, kapłan runął na kolana, nie śmiejąc unieść wzroku.

– Panie... – wyszeptał ledwie słyszalnym głosem.

– Daleś dowód swego oddania – zadudnił głos. – Niech więc i tak będzie. Niech ten posąg spoczywa w tym miejscu, aż ktoś godny go odnajdzie i przywróci mi władzę w całym pomorskim kraju. Aby jednak ludzie pamiętali, że moja cierpliwość ma swoje granice, niech od tej pory ten kamień co roku po trochu pograża się w ziemi – gdy zaś w całości więcej zniknie, niech czarna otchłań pochłonie wszystko i wszystkich!

– Niech tak się stanie – odpowiedział Wyszomir, a wiatr ustał. Kapłan podniósł się z klęczek i przemówił do towarzyszy, przekazując im słowa Tryglawa. Następnie rozkazał każdemu z nich odejść w innym kierunku, nie oglądając się za siebie, sam zaś długo jeszcze klęczał pod głazem, modląc się żarliwie.

Od tamtych wydarzeń upłynęło wiele wieków. Niedaleko głazu wyrosła wieś Tychowo, która następnie przekształciła się w miasteczko Wielki Głaz, po dziś dzień zwany Tryglawem, spoczywa pozostałości miejscowego cmentarza. I chyba dotąd nikt nie odnalazł pogrzebanego pod nim posągu, skoro kamień rok w rok zapada się odrobint w ziemię...

## Trzy pierścienie

Pężino

W dawnych czasach, gdy podstargardzkim Pężinem władali jeszcze Puttkamerowie, na miejscowym zamku przysłała na świat dziewczynka, której dano na imię Eliza. Już za młodu rezolutna była i radośnie wyrosła wreszcie na piękną młodą pannę. Kochał ją rodzice, choćby też leśne duszki, z którymi często bawiła się w chowanego w zamkowym parku. Z kuchni zносиła im smakotyki: orzechy przetrzone rodzynekami z hiszpańskich winogron czy gąsiorek węgierskiego wina. Słabość miał do niej nawet Purtk, diabeł psotny, acz poczciwy, mieszkający w dziupli wierzbowego drzewa. Obroniła go bowiem raz po raz przed zrym i ponurym Smętkiem, który Purtkowe mieszkanie chciał dla siebie zająć.

Którejś nocy długo nie mogła zasnąć. Przewracała się w swoim łóżku, sen jednak nie nadchodził. Nagle błękitny błysk na krótką chwilę rozświetlił ściany jej komnaty. Przed jej oczami stanął karzełek nie wyższy niż na dwa palce, i głosem nieznośnym sprzeciwił żądaniom:

— Chodź ze mną!

Eliza przestraszyła się i naciągnęła na głowę poduszkę, karzełek jednak chwycił ją i odrzucił daleko, po czym ponownie zwrócił się do niej:

— Chodź ze mną!

Dziewczyna zanurkowała pod kołdrę, jednak i tę ściągnął z niej chochlik, wołając:

— Chodź ze mną, krzywdę ci się nie stanie!

Widząc, że opór jest daremny, Eliza usiadła na łożku, naciągnęła na nogi miękkie pantofle, narzuciła na głowę chustę, po czym podążyła za karzełkiem. Ten zaś podziemnymi korytarzami biegnącymi pod warko płynącą Krapielą powiódł ją aż do pobliskiego kościoła. Tam zaś wskazał jej stojącą na ołtarzu misę, w której znajdowały się roz-

stępnie wracać do zamku, po drodze nie oglądając się za siebie. Gdyby bowiem to uczyniła, wielkie nieszczęścia miały spotkać ją i jej ród.

Widząc, że nocy tej dzieją się nadprzyrodzone rzeczy, Eliza bez słowa spełniła żądanie karzełka. Gdy zaś wróciła do sypialni, coś zabręczało w chustce. Gdy ją rozwiązała, ze środka wypadły trzy przepiękne pierścienie zrobione ze szczerzego złota.

Krzyknęła zdziwiona i, chwyciwszy w rękę drocenne znaleźisko, pniegła do rodziców, by w urywanych słowach opowiedzieć im swą historię. Ojciec kiwał głową, słuchając córki, gdy zaś wyszła z sypialni, spojrzął na żonę znacząco, palcem kresząc kółko na czole. Szybko jednak musiał zmienić swój pogląd, bo oto, od kiedy tylko trzy pierścienie znalazły się w zamku, dla Puttkamerów nastąpiły czasy wielkiej pomyślności.

Przez długi czas pierścienie pozostawały w zamku, leżąc na widoku w jednej z komnat. Pan Puttkamer nierazkto zakładał je na palce, wzbierając się w podróż. Pech chciał, że któregoś dnia, gdy przemierzał gosińciec prowadzący w stronę Stargardu, napadnięto go i ograbiło, zabierając również jeden z zaczarowanych pierścieni. Kiedy zaś szlachcic powrócił do Pężina, dojrzał, że oto w jednej z zamkowych ścian rozwarła się wielka szczelina, której w żaden sposób nie udawało się zataić. Przestraszony pan Puttkamer nakazał więc pozostałe dwa pierścienie zamurować w zamkowych ścianach, aby i one nie zginęły. Podobno tkwią tam po dziś dzień.

## Trzy puchary

Dobra k. Nowogardu

Głośne krzyki i śpiewy niósł się po korytarzach doberskiej warowni. Służba przemrykała się cichcem, donosząc trunki do komnaty, w której tej piani szlachcice przewalali się po krzesłach, tłukli zastawę i rzucali o ziemię pucharami. Niejedna dziewczka służebna uciekała stamtąd z pistakiem, gdy Henryk von Dewitz do spółki z Jerzym von Arnimem, rozochoceni szumiącym w głowach winem, obłąkali je albo składali nieprzychylnie propozycje.

Popijawy takie zdarzały się często, pan Dewitz miał bowiem wielką słabość do trunków. Gdy tylko nasza go ochoła, spraszał tych znanych mu szlachetnie urodzonych, którzy również za kofnierz nie